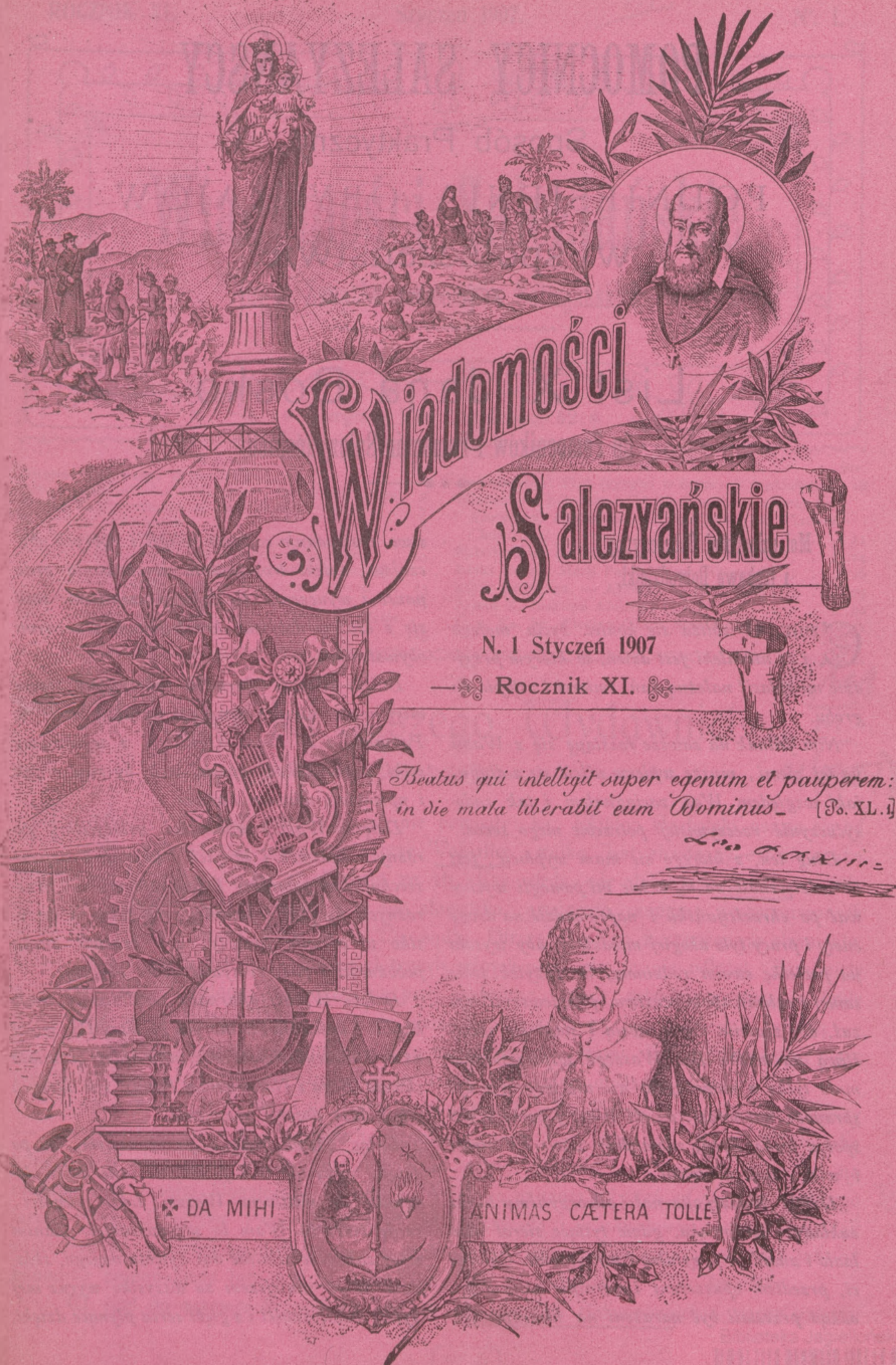


Wiadomości Salezyańskie
N. 1 Styczeń 1907
Rocznik XI.
Beatus qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]
DA MIHI
ANIMAS CÆTERA TOLLE

POMOCNICY SALEZYAŃSCY

Sposób Praktyczny

PODNIESIENIA OBYCZAJÓW

w społeczeństwie.

(Ciąg dalszy).

List X. Jana Bosko

do Pomocników i Pomocnic Salezyańskich.

Moi szlachetni Dobroczyńcy
i łaskawe Dobrodziejki,

Czuję, że zbliża się koniec życia mojego i że niedaleki jest dzień, w którym przyjdzie mi spłacić należną dań śmierci i zstąpić do grobu.

Nim jednak na zawsze rozstanę się z Wami na tej ziemi, muszę wpierw uiścić się z długu, jaki względem Was zaciągnąłem i tak zadosyćuczynić rzeczywistej potrzebie mego serca.

Dług ten, z którego się mam wypłacić, jest to wdzięczność za to, żeście mi pomogli wychować po chrześcijańsku i naprowadzić na drogę cnoty i pracy tyle ubogiej młodzieży, aby wyszła na pociechę swoim rodzinom, na pożytek sobie samej i całemu społeczeństwu, przedewszystkiem zaś, aby zbawiła duszę swoją i stała się szczęśliwą na wieki. Bez Waszego współdziałania mało tylko a może zgoła nic nie mógłbym był sprawić; natomiast, dzięki Waszej pomocy wespół z łaską Bożą, zdołaliśmy wiele łez otrzeć i wiele dusz uratować.

Dzięki Waszej ofiarności otworzyliśmy liczne zakłady i schroniska, gdzie tysiące sierot znalazło i znajduje przytułek i utrzymanie. Chłopcy ci, przedtem opuszczeni i moralnie zaniedbani, odkąd przestali być narażeni na niebezpieczeństwo postradania całkiem religii i dobrych obyczajów, dzięki troskliwemu wychowaniu oraz nauce i wyuczeniu się jakiego rzemiosła, stali się z czasem dobrymi chrześcijanami i zacnymi obywatelami.

Dzięki Waszej ofiarności założyliśmy stacye misyjne na samych krańcach świata, bo aż w Patagonii i w Ziemi Ognistej, i wysłaliśmy setki pracowników apostolskich, by rozszerzali i uprawiali winnicę Pańską.

Dzięki Waszej ofiarności założyliśmy po różnych miastach i krajach drukarnie i rozpowszechniliśmy pomiędzy ludem całe miliony przeróżnych książek i pomniejszych pism, a wszystko w obronie prawdy, aby krzewić ducha pobożności i podtrzymywać dobre obyczaje.

Dzięki Waszej ofiarności wznieśliśmy wiele kaplic i kościołów, w których po wszystkie wieki aż do skończenia świata codziennie będzie brzmiała chwała Boga i Najświętszej Panny i w których wiele dusz dostąpi zbawienia.

Będąc zatem głęboko przekonanym, że po Bogu, wszystko to i przeróżne inne dobro dokonało się skutkiem Waszej dobroczynności, czuję potrzebę Wam to wypowiedzieć. Zanim więc zakończę ostatnie dni żywota mojego, składam Wam niniejszem za wszystko wyraz mej żywej wdzięczności i z głębi serca płynące dzięki.

ROCZNIK XI. Styczeń 1907. Nr. 1.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 42 *

TREŚĆ: Str.

Dziesięć lat naszego Wydawnictwa.

Ani prośby, ani płacz młodzieży nic nie pomogły: ks. Wiktor Grabelski usuwa się od pracy wychowawczej, opuszcza urocze Valsalice i znika. Jest strudzony, ale nie szuka wytchnienia, którego nikt nie wziąłby mu za złe. Czy wtedy, gdy ulubionego Schulza wkłada do kufra, przestaje wierzyć w twórczą siłę słoneczka, grzejącego czupryny zeszeregowanych w kąciku Jasiów, Józiów, Stasiów...? Nie sądzę. Otrząsnął pióro z czerwonego atramentu, którym w misternych motywach zabarwiał zeszyty pilnych uczni, ale go nie odłożył. Zamknięty w ciasnej celce, do której dochodziło się przez podwórza, tunele, schody, korytarze, ukryty w ogromie macierzystego domu a stojący niemal zupełnie po za jego ruchem i wrzawą — ks. Grabelski siedzi przy skromnym stoliku zasłanym rękopisami, listami, drukami, i pisze coś niebieskim inkaustem, tak drobno i wyraźnie, jak żadna maszyna zecerska.

Ledwo zawitał rok 1897, aliści tysiącami rozszedł się po Polsce styczniowy — pierwszy — zeszyt Wiadomości Salezjańskich. Znalazł gorące przyjęcie pod słomianą strzechą kmiecia i w skromnym domku robotniczym, w czytelni ludowej i w bogatym saloniku, na plebanji i w ubogim klasztorze. Płynęły ciepłe słowa uznania i życzeń od górnika śląskiego zarówno jak od rolnika Prus Zachodnich, od nauczyciela i przemysłowca poznańskiego, tak samo jak od galicyjskiego urzędnika, od proboszcza z kaszubskich stron, podobnie jak od kanonika poznańskiego lub mistrza nowicjuszów czci najgodniejszych OO. Jezuitów.

W ślad za pismem krzewił się związek Pomocników Salezjańskich i coraz szersze




w społeczeństwie polskiem załaczał koła. W lipcu 1897 już 16000 członków należało do związku; w grudniu tegoż roku liczba ich doszła do 25000 i rosła ciągle.

W kraju wytworzyła się świadomość potrzeby zakładów salezjańskich, która znalazła swój wyraz w pięknych artykułach dzienników. Walka ze socjalizmem wykazała konieczność szczególnej opieki nad terminatorami: do tej opieki wzywano synów księdza Bosko. Wiadomości Salezjańskie przygotowywały opinję publiczną, ułatwiały styczność Zgromadzenia ze społeczeństwem, uprawiały grunt pod przyszłe fundacje.

I schodzą się dwa fakta. Ks. Grabelski, złamany pracą, usuwa się od redakcji, a równocześnie w Oświęcimiu rośnie budowa pierwszego na ziemi polskiej zakładu salezjańskiego. Tak sędziwy rolnik po znojnej pracy schodzi z pola, na którem bujne zieleni się zboże. Ale gdy w dwa lata potem zakład napełnił się po brzegi młodzieżą, ks. Wiktor zatęsknił za dawnem polem pracy. Słaby on, bardzo już słaby, ale jeszcze radby kilka snopów zebrać i związać. Wyszedł więc do żniwa, ręce do roboty przyłożył i... padł przy pierwszym snopie.

Padł! Ale nie brakło po nim rąk do pracy, bo wychował całe pokolenia. Więc i Wiadomości Salezjańskie z nim nie upadły, wychodzą jak pierwej i są czytane w kraju i we wszystkich zakątkach świata, gdzie dotarła noga polskiego wychodźcy.

Wiadomości Salezjańskie wychodzą i niniejszym numerem wkraczają w jedenasty rok swego istnienia.

Przezacni Pomocnicy! Silniej niż dotąd zjednoczmy się wszyscy z sobą, zespólmy serce do serca i ramię do ramienia! Pierwsze dziesięciolecie wspólnej naszej pracy wydało nam dwa zakłady na ziemi polskiej, misję dla wychodźców w Londynie i jakiś zaczątek opieki nad naszymi emigrantami w Ameryce. Atoli inne, daleko ważniejsze sprawy i przedsięwzięcia czekają jeszcze nas i Was. Starajcie się zatem pozyskać jak najwięcej nowych Pomocników. Niech związek ten ogarnie cały kraj, cały naród polski, od Bałtyku do Karpat, od Odry aż do Dniepru! O tem marzył twórca Wiadomości Salezjańskich, ś. p. ks. Wiktor Grabelski. Niech się to stanie w drugiem dziesięcioleciu naszego Wydawnictwa.

DOROCZNE SPRAWOZDANIE NAJPRZEW. KS. MICHAŁA RUA.

Przezacni Pomocnicy, Czcigodne Pomocnice!

Jak z upływem czasu poczynam odczuwać ciężar wieku, tak w sercu mojem budzi się coraz żywsza wdzięczność ku Bogu, zwłaszcza gdy myślą zwracam się do lat, które od dzieciństwa spędziłem przy boku ks. Bosko. Patrzałem na pierwszy zawiązek jego kongregacji, widziałem jej wzrost ciągły i niepowstrzymany i wyznaję wam, Czcigodni Pomocnicy, że nieprzerwany szereg wzruszających dowodów Dobroci Boskiej staje przed oczyma memi i rozczula mnie głęboko. Czem była instytucja ks. Bosko przed sześćdziesięciu laty? Istniało w Turynie Oratorjum św. Franciszka Salezego, zaledwie naszkicowane, tak ciasne i biedne, że jakiegoś większego wzrostu zapowiadać nie mogło.

Kilkadziesiąt lat minęło: Oratorjum stało się miastem zamieszkanem przez krocie młodzieży a trzysta innych domów powstało w różnych stronach świata.

Za niezliczone dobrodziejstwa wyświadczone nam w przeszłości, niech będą dzięki i chwała Najwyższemu Bogu!

Błogosławieństwa Boże w r. 1906.

Ubiegłej wiosny zwiedziłem pewną ilość domów salezjańskich i zapoznałem się osobiście z wielu Pomocnikami na wyspach brytańskich, w Portugalji, Hiszpanji, na Sycylji, Malcie i w Południowych Włoszech. Otóż wszędzie uderzała mnie widoczna opieka nieba, chętna praca współbraci i uznanie Pomocników. W niektórych domach dokonywają się liczne nawrócenia protestantów, którzy po wyrzeczeniu się błędów wnoszą na łono religji katolickiej świeży zapał i gorliwość.

Celem ratowania i rozwijania powołań duchownych stosowane bywają wszędzie najenergiczniejsze środki; we wielu zakładach kwitnie związek *Synów Marji Wspomożycielki*, który tak bardzo leżał na sercu słodkiemu Ojcu Księdzu Bosku; kaplice świąteczne rosną i ulepszają się ustawicznie na korzyść Kościoła i społeczeństwa.

Miłościwszą jeszcze okazała się w tym roku Opatrzność Boska względem Salezjanów w Chile i Kalifornji. We wielkich katastrofach, które śmierć i zniszczenie sprowadziły na kwitnące okolice, nie było ani jednej ofiary z pomiędzy Salezjanów, Sióstr Wspomożycielki i młodzieży przez oba Zgromadzenia wychowywanej, chociaż trzy zakłady runęły a inne poszarpane zostały gwałtownością wstrząśnienia. Nasz kościół parafialny w S. Francisco powstał już z gruzów i poświęcony został w zeszłym listopadzie.

Opieka Boska nad nami uwydatniła się również w szczęśliwym przebiegu dwu zjazdów Pomocników Salezjańskich: *czwartego* w Limie, który w republice peruwiańskiej wstrząsnął wszystkiemi sercami katolickiemi i głośnem echem odbił się po wszystkich republikach Ameryki południowej, oraz *piątego* w Medyolanie, gdzie idea ks. Bosko święciła jeden z najuroczystszych swych tryumfów, gdy do tego poświęcono wielki monumentalny kościół św. Augustyna i gdy Wystawa wszechświatowa przyznała Salazjanom *najwyższe odznaczenie* za zasługi na polu wychowania, dobroczynności, misji, opieki nad emigrantami i innych prac humanitarnych.

Wobec tylu łask i dobrodziejstw podnoszę głos swój, aby przed całym światem złożyć Najwyższemu hołd uwielbienia i wdzięczności.

Nowe fundacje w r. 1906.

W myśl ustaw związku Pomocników przechodzę do sprawozdania za rok ubiegły. Niewątpliwie pamiętacie, że z uwagi na brak środków i personału postanowiliśmy zeszłego roku *przez kilka lat żadnych nowych zakładów nie otwierać*. Z tego powodu w ubiegłym roku objęliśmy zaledwie kilka domów wyłącznie takich, których fundacja była już poprzednio postanowiona.

I) Domy Salezjanów.

W Europie nie przyszła do skutku żadna nowa fundacja.

W Azji powstały zakłady misyjne

w **Tanjore** (*Indje*) i w **Mikao** (*Chiny*), z których czytaliście już piękne listy.

W Ameryce otwarto kaplice świąteczne w **Cosquin** (*Argentyna*), w **Medellin** (*Kolumbia*) i w **Ribeirão Preto** w brazylijskim stanie *S. Paulo*. Ponadto objęto szkołę rzemieślniczą w **Piura** (*Peru*), szkołę techniczno — przemysłową w **Valdivia** (*Chile*), wielką parafję w **Soriano** (*Urugwaj*) i kollegium w **Comajagua** (*Honduras*). W posiadłości ś. p. doktora *Santos*, nad rzeką **Rio Sangrador** w brazylijskich puszczach *Matto Grosso*, założono dla Indjan Bororos-Koroadosów Kolonję pod wezwaniem św. Józefa.

II) Fundacje Sióstr Wspomożycielki Wiernych.

Siostry, niemniej od Salezjanów dotknięte brakiem środków i ludzi, musiały się podobnie ograniczyć do bardzo nielicznych fundacji. We Włoszech objęły kierownictwo zakładu we **Formigine** i schronisko dla chłopców w **Genui.**

W Ameryce osiedliły się w **Atahualpa** (*Urugwaj*), **Cuzco** (*Peru*), **Monterrey** (*Meksyk*), **Guadalajara** (Meksyk) i **S. Tecla** (*San Salvador*), zakładając szkoły, pracownie i kaplice świąteczne. W **Medellin** (*Kolumbja*) objęły szkołę miejską, schronisko sierot i kaplicę świąteczną; we **Villa Conception** (*Paraguaj*) przyjęły zarząd szpitala i zapuściły się aż do kolonji Niepokalanego Poczęcia pomiędzy Indjanami Bororos-Koroadosami w *Brazylji*, gdzie zajęły się wychowaniem dziewcząt i cywilizowaniem Indjanek. — Dla braku funduszów i sił odrzucono 36 podań o nowe fundacje.

III) Wysyłka Misjonarzy.

Z różnych naszych misji, ale zwłaszcza z Patagonji, Chile, Matto-Grosso, Wenecueli, Stanów Zjednoczonych i ze Wschodu nadeszły tak liczne i wzruszające prośby o posiłki w ludziach, że postanowiłem je uwzględnić choćby kosztem największych ofiar. To też około 50 robotników ewangelicznych (księży, kleryków, braciszków) pożegnało w listopadzie rodziny swoje i ojczyznę, aby ulżyć bohaterom, którzy od lat wielu stoją w ogniu za wiarę i cywilizację. Równocześnie z Nizza Monferrato wyruszyła gromadka Sióstr Wspomożycielki Wiernych, przeznaczonych do nowej kolonji w Matto Grosso.

Potrzeby w tym względzie były tak wielkie i nagłe, że w żaden sposób nie mogliśmy się uchylić od olbrzymich wydatków połączonych z wyjazdem tylu misjonarzy. Oby Opatrzność Boska natchnęła jaką duszę szlachetną myślą pokrycia kosztów ich podróży. Jej imię splotłoby się z dziełem postępu Ewangelji i cywilizacji i obficie spłynęłyby na jej rodzinę błogosławieństwa Boże, wyproszone trudami misjonarzy i modlitwą nawróconych pogan.

IV) Inne przedsięwzięcia.

Polegając na pomocy i nadziei waszego poparcia, przyłożyliśmy w zeszłym roku rękę także do innych dzieł, z pomiędzy których na pierwszy plan wysuwa się budowa kościołów. Tak n. p. w **Londynie** nastąpiło w marcu uroczyste otwarcie kościoła dla *Polaków;* nowa kaplica powstała w parafji św. Brygidy w **Nowym Jorku** a drugą wznosimy w portowem mieście **Spezia** (Włochy).

Podobnie we wielu zakładach doko-

nano znacznych robót adaptacyjnych, przybudowano nowe skrzydła niezbędne z powodu przepełnienia i podjęto inne prace.

Atoli najwydatniejszem okazało się miłosierdzie wasze w schroniskach sierot, których utrzymanie polega wyłącznie na waszej jałmużnie. Na przykład Oratorjum turyńskie w zeszłym roku nie zdołało opłatami chłopców pokryć ani kosztów pieczywa. W samej rzeczy roczne pensje chłopców (900 z górą) wynosiły 42.324 lirów, a rachunek piekarza opiewał na lirów, 46.636. Pomyślcie sobie teraz, ile wynosić musiały cały wikt, wydatki szkolne, rozchody warsztatów, utrzymanie zakładu i zupełne przyodzianie bardzo wielu dzieci. — Jak Oratorjum, tak i inne zakłady nie mogłyby istnieć bez waszego miłosierdzia, Przezacni Pomocnicy.

Na rok 1907.

„Wiadomo wam, pisał ks. Bosko do Pomocników 1. stycznia 1883 roku, co się dzieje z ofiarą złożoną w ręce księdza Bosko. Za nią zbieramy z ulic biedną dziatwę, odżywiamy, kształcimy, wychowujemy ją w religji, uczymy rzemiosła, sposobimy do uczciwego stanowiska, przerabiamy ją na dobre dzieci rodziny, na obywateli światłych, na pożytecznych członków społeczeństwa i kościoła, na katolików cnotliwych i szczęśliwych dziedziców nieba; wyrabiamy z niej sumiennych nauczycieli dziatek, gorliwych kapłanów ludu i mężnych misjonarzy dzikich szczepów; za wasze ofiary powstają świątynie, w których rozbrzmiewa słowo kapłana, łaska Najwyższego przelewa się na ludzkość przez Sakramenta św., a śpiew pobożny przygłusza przekleństwa godzące na chwałę i majestat Boski; za wasze ofiary wychodzą z druku tysiące dobrych książek, które bronią zdrowych zasad, obalają błędy, utwierdzają we wierze i cnocie a obłąkanych nawołują do poprawy; słowem za wasze ofiary rozprzestrzeniają się granice królestwa Bożego i panowania Chrystusa w jednostkach, rodzinach, miastach, narodach, aby On królował od morza do morza: *dominabitur a mari usque ad mare.*"

Drodzy Pomocnicy i Przezacne Pomocnice! powtarzam za ks. Bosko: „Oto, co się stanie z waszemi ofiarami." Ale niektóre sprawy w osobliwszy sposób zależeć będą od waszej wspaniałomyślności.

Cywilizacja dzikich ludów, której z podziwem cały świat przyklaskuje, stała się terenem, na którym synowie ks. Bosko wytężoną pracą okupują niezwykłe powodzenie. Pozyskane już dla wiary i cywilizacji Patagonia i Ziemia Ognista są najpomyślniejszą rękojmią cywilizacyjnych skutków pracy naszych księży na korzyść **Kiwarosów** w *Ekwatorze*, których polecam nie tylko waszej ofiarności, ale także modlitwom, i na korzyść **Bororos-Koroadosów** w *Matto Grosso*, gdzie utworzyliśmy już trzy ważne osady. W roku 1902 powstała osada *Najśt. Serca Jezusowego*, dziś zamieszkana przez 300 Indjan; w r. 1905 założono osadę *Niepokalanego Poczęcia*, zamieszkaną przez 200 Indjan. Aby jak najrychlej zbliżyć się do reszty szczepu (około 10.000 Indjan), założono trzecią osadę *św. Józefa* nad rzeką Rio Sangrador, do której przesiedlać się będą z dwóch powyższych osad rodziny do pewnego stopnia już ucywilizowane.

Tu założymy dla Indjan praktyczną szkołę rolniczą i rzemieślniczą; Indjanki w chwilach wolnych będą się pod dozorem Sióstr uczyły robót kobiecych. Jeżeli mnie nadzieje nie zawiodą, pozakładamy z czasem na drodze do Cuyabà szereg innych kolonji, które ułatwią Indjanom styczność ze światem ucywilizowanym a potomności wskazywać będą kierunek, w którym się wiara w te lasy wdzierała. To wzniosłe ale milionowe przedsięwzięcie polecam w szczególniejszy sposób waszej pamięci.

Drugą wielką troską serca mojego jest budowa wielu naszych kościołów. I tu niczego bez was nie dokażemy. Przyczyniając się do wzniesienia kościoła, zdobywamy sobie prawo korzystania z odprawianych w nim po wieczne czasy praktyk religijnych. Ale kto wspiera budowę kościoła salezjańskiego, ma poniekąd większą zasługę, bo kościoły nasze wszędzie odpowiadają rzeczywistym potrzebom, a bez Salezjanów może nie byłyby wcale powstały. Więc jak Bogu dziękuję za powierzenie nam tak trudnego i wzniosłego zadania, tak aby nie stanąć w sprzeczności z wyrokami Opatrzności Boskiej, muszę polecić Pomocnikom całego świata chętne wspieranie budowy naszych kościołów, z pomiędzy których na pierwszem miejscu stawiam kościoły Wspomożycielki Wiernych w **Oświęcimiu** i **Limie** (*Peru*), kościół parafialny we **Wiedmie** (*Patagonia*), św. Rodziny we **Florencji** i Maryi Wyswobodzicielki w **Rzymie.**

Dalej uprzytomnijcie sobie to, czego się po was spodziewają nasze zakłady dobroczynne, który za wasz grosz wychowują, utrzymują budynki, kształcą nowe siły pedagogiczne, spłacają długi, rozszerzają się i mnożą. — Obszerne, okiem nie objęte jest pole waszej pracy!

Zakończenie.

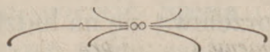
Zdumiony wzrostem dzieł ks. Bosko, co rok wspominam na tem miejscu o Dobroci Bożej i uwielbiam ją hymnem wdzięczności. Ale równocześnie i do Was się zwracam i ślę wam gorącą podziekę. Gdy czytam wasze listy, którymi się polecacie modlitwom dziatwy, Salezjanów i moim, wzruszam się głęboko i z wielką ufnością polecam Was Marji Wspomożycielce. I czemuż nie miałbym się z wiarą udawać do naszej najsłodszej Matki, kiedy na poparcie prośby mogę się powołać na tysiące sierot i biednych chłopczyków za waszą ofiarę przygarniętych, kształconych, wychowywanych po bożemu, na tysiące dzikusów nawróconych, na liczne prace w krajach kulturalnych? Trwajcie w miłosierdziu, Drodzy Pomocnicy, a Najśw. Marja Panna nie przestanie być Wspomożycielką waszą w potrzebach i boleściach, w życiu i po śmierci.

Zapewniając Wam jak największy udział w zasługach i modlitwach Zgromadzenia Salezjańskiego i Sióstr Wspomożycielki, zasyłam Wam najszczersze życzenia naworoczne.

Wszystkich Przezacnych Pomocników i Czcigodnych Pomocnic wdzięczny i oddany sługa

X. Michał Rua

W Turynie, dnia 1. stycznia 1907.



Zakład ks. Salezjanów w Oświęcimiu.

Niejednokrotnie zapytywano mię, jako oświęcimskiego nauczyciela, o informacye tyczące tego zakładu. Aby więc zapoznać szerszą publiczność z jego historyą oraz wartością społeczną, skreśliłem następujace uwagi:

Kto przed 12 laty oglądał zabytki i pamiątki naszego miasta, ten pewnie nie pominął ruiny niegdyś wspaniałego, starego, bo w 1313 r. zbudowanego podominikańskiego kościoła. Kościół wraz z klasztorem przechodził różne koleje — za czasów Józefińskich opustoszał, a wreszcie w najnowszych czasach przeszedł w ręce żydowskie. Żydzi, nabywszy ruiny, w znany sposób rozpoczęli w poświęconych murach swą gospodarkę.

Boczne kaplice i główną nawę przemienili na składy desek, jaj i kości, odwieczne pomniki i stopnie ołtarzy przerobili na schody do swych spelunek.

Stan takiej hańby i profanacji trwałby do dziś do zupełnego zniszczenia drogiej pamiątki, gdyby nie zabiegi ówczesnego proboszcza oświęcimskiego, ś.p. ks. A. Knycza i ofiarność kilku miejscowych obywateli. Po wielu trudach i zabiegach wykupiono ruiny z rąk żydów. Ks. Knycz, chcąc uchronić mury od zupełnego zniszczenia, względnie odnowić je, ofiarował kościół rozmaitym zakonom, lecz wszystkie ofiarę odrzucały, nie widząc środków i wogóle możności odbudowania świątyni.

Jedni tylko ks. Salezjanie nie ustraszyli się czekającej ich pracy i ruiny objęli w posiadanie. Ile pracy, ile poświęcenia i mozolnych zabiegów o grosz położyli ci cisi pracownicy, ten tylko oceni, kto naocznie oglądał ruiny i widzi na ich miejscu wspaniały olbrzymi kościół i obok piętrzący się zakład.

Taka jest historja powstania zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu.

Wejdźmy teraz do wnętrza, aby obejrzeć jego urządzenie, zbadać cel i wydatność w kierunku humanitarnym i wychowawczym.

Urządzenie zakładu przeszło moje wyobrażenie. Wysokie i obszerne sale, szpitalik, warsztaty zaopatrzone w najnowsze narzędzia, kuchnia, wodociągi, elektryczne oświetlenie, centralne ogrzewanie, wogóle jest tu wszystko, co w obecnej dobie zakład wychowawczo-rzemieślniczy mieć może. Znalazło tu schronienie i naukę przeszło 250 chłopców, przeważnie sierot, którzy żadnej albo bardzo małą wedle możności uiszczają opłatę. Nie braknie tu niczego. Niższe gimnazyum, małe seminaryum duchowne, warsztat ślusarski i kowalski, pokojowe i meblowe stolarstwo z rzeźbiarstwem, szkoła szewska i krawiecka, nadto dla wszystkich wychowanków szkoła muzyki orkiestralnej i fortepianowej.

A jak tu czyściutko i składnie, a jak się serce raduje na widok małych wychowanków wykonujących artystyczne przedmioty z biegłością i wprawą, którzy dziś byliby może dziećmi ulicy. Tam się widzi motor gazowy i dynamo-maszynę obsługiwane przez malców ślusarzy, tu chłopiec wykuwa artystyczne sztachety na zamówienie, wszędzie ruch, kipi praca umiejętnie kierowana przez braciszków klasztornych, którzy są majstrami poszczególnych warsztatów. Tak wykształcony rzemieślnik ogólnie i fachowo znajdzie zawsze zajęcie a jego wyroby podaż i uznanie.



Budowa zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu w r. 1900.

Takich zakładów trzeba nam więcej a zmniejszy się liczba bezdomnych, natomiast wzrośnie zastęp wykształconych rzemieślników.

Dlatego też rodzice i opiekunowie chętnie umieszczają tu swoje dzieci i pupilów bądź przeznaczając ich do warsztatów, bądź też na dalsze nauki szkolne. Cała ta wielka maszynerja pozostaje w rękach kilku księży, którzy obok pracy kościelnej i w salach szkolnych, muszą ciągle starać się o grosz na jej utrzymanie.

Artykuł niniejszy może lepiej usposobi ofiarność publiczną dla tak dobroczynnej instytucyi.

W. Firlej.

(*Głos Narodu z. 2. 12. 1906*).

W sprawie emigrantów.

Poznań, w listopadzie 1906 r.

Wielebny księże Redaktorze!

Pojmuję niecierpliwość W. W. z powodu opóźnienia przyobiecanego referatu o mojej misji w patagońskich stepach. Że dotychczas nie wywiązałem się z tego zadania, ważne miałem do tego powody. Z zasady jestem tego zdania, że każda praca powinna mieć na względzie jakiś praktyczny rezultat; uważałbym to za stratę czasu, gdybym miał opis misji i tamtejszych stosunków kolonjalnych oprzeć jedynie na chęci połechtania fantazji i budzenia wrażeń płytkich i przelotnych. Nie, tak bezowocnej pracy czasu poświęcać nie myślę. Ażeby sobie zaś zdać sprawę z potrzeb naszego społeczeństwa, które przy pisaniu koniecznie muszę mieć na względzie, musiałem dłuższy przeciąg czasu poświęcić obserwowaniu jego położenia i sposobu myślenia. Byłem więc na zjeździe Prawników i Ekonomistów polskich w Krakowie, gdzie poruszono ważne kwestje ekonomiczno-społeczne; dalej zwiedziłem W. Księstwo Poznańskie, przypatrując się energicznej i postępowej akcji socjalnej i gospodarczej naszego ludu pod przewodnictwem dzielnych i niezmordowanych szermierzy ze sfery starszej, intelligentnej braci; wpadłem i do Królestwa, gdzie pominąwszy liczne następstwa długo krępowanej swobody, stwierdziłem z niemałem zdziwieniem silne objawy gorączki emigracyjnej właśnie w chwili, kiedy zdaje się, że wschodzi jutrzenka lepszej doli i przyszłości; zajrzałem również do Galicji, aż po za Lwów, aby się przekonać, jak tam dalece wyzyskana jest dla celów oświaty ludu ta swoboda, o jakiej w innych zaborach marzyć nam nie wolno, i aby naocznie zobaczyć, czy i o ile uzasadnione jest narzekanie na ciężkie warunki życia, jakiemi tysiączne tłumy wychodźców uniewinniają swoją wędrówkę do Niemiec i za morze. Z uznaniem zaznaczyć należy, że budzi się tam (jakkolwiek może trochę późno) pewien ruch na korzyść ludu, lecz nie jest on jeszcze tak silny i powszechny, jakby sobie tego w obecnej chwili życzyć należało. Ostatnią wycieczkę przedsięwziąłem do Londynu, Rotterdamu Amsterdamu, Bremy, Hamburga i innych miejscowości, w których najłatwiej zapoznać się można z intenzywnością ruchu emigracyjnego za morze.

— Takie są właśnie powody, Wielebny ks. Dobrodzieju, dla których spóźniłem się z dotrzymaniem przyrzeczenia.

W niniejszym wstępie do sprawozdań misyjnych umieszczam kilka spostrzeżeń dotyczących jednego z najważniejszych objawów naszego życia narodowego, t. j. wychodztwa. Po kilkunastoletnim pobycie za morzem, w okolicach stanowiących niejako ponętę dla naszego emigranta, musiałem naocznie poznać warunki życia naszego ludu, nim się zabiorę do omówienia kwestji misyjnej w rozległych i nawpół bezludnych krajach, ogarniętych stałym prądem immigracyjnym. Chodzi mi o to, aby w opisach misyjnych wykazać, czy i jak dalece zbadane przezemnie obszary nadają się pod kolonizację, jakie są ich dodatnie i ujemne strony; chodzi mi o to, aby w zestawieniu pracy ewangelicznej zarysowały się wyraźnie wszystkie te szczegóły, które w sprawie emigracji powinny ztanowić materjał do opracowania praktycznego programu ruchu. Sądzę, że wskazówki moje nie będą daremne, bo wiadomo, że emigracja niestety nie jest jeszcze ujęta w należyte formy. Dowodem tego tłumy naszych wychodźców wyjeżdżających z kraju bez żadnego celu, rzucających się ślepo w objęcia doli lub niedoli, zapalonych tylko ponętnemi obietnicami i opisami sprytnych agentów, którzy z łatwowierności naszego ludu umieją ciągnąć grube zyski; tacy agenci stanowią zwykle żywioł nam nieprzychylny, a może nawet pod płaszczykiem życzliwości i opieki czychają na naszą zgubę.

Gdzie życzliwość i opieka opierają się na osobistym, prywatnym interesie, tam niczego dobrego spodziewać się nie można. Mojem zdaniem tylko traktowanie i rozwiązanie kwestji emigracyjnej ze stanowiska narodowego, może zapewnić należytą opiekę poszczególnym jednostkom, dostającym się w zamęt ruchu wychodzczego i przynieść korzyść społeczeństwu samemu. Jeżeli więc trudny na razie do powstrzymania ruch emigracyjny nie ma być zupełnie dla narodu stracony, ale ma mieć dla niego jakieś pozytywne, dodatnie znaczenie, musi się nim zająć cały nasz ogół, całe społeczeństwo. Jak? o tem w swoim czasie pisać będę. Spodziewam się, że mianowicie duchowieństwo i intelligentniejsze warstwy narodu zajmą się tą kwestją i własnemi spostrzeżeniami i doświadczeniem uzupełnią niedomagania, od jakich bynajmniej nie odsądzam swoich uwag.

Zasadniczą w tej mierze myślą moją jest, aby wychodźcy nie byli garstką skazańców na zawsze

i zupełnie od reszty narodu odciętych. Poczucie narodowe, wspólność religijna powinny ich łączyć z rodzinną ziemią: emigracja i naród w kraju powinny na siebie wzajemnie oddziaływać, wspierać się, podtrzymywać. — Wobec coraz to łatwiejszej i tańszej komunikacji morskiej, wobec wzmagającej się ludności krajów europejskich a mianowicie polskiej, co z naciskiem zaznaczyć należy, wobec niezmiernych obszarów bezludnych i łatwości zarobkowania w krajach zamorskich — emigracja stanie się prawdopodobnie wkrótce nieuniknionym i koniecznym czynnikiem życia w każdym narodzie. Ruch ten emigracyjny, odpowiadający zupełnie w naturze fizycznym prawom równowagi (zwierciadłu wody), jest trudnym do powstrzymania, a siła jego należycie zużyta, może być korzystnie wyzyskana w maszynerji życia narodowego. Naród niezależny, któryby dziś siłę tego ruchu lekceważył sobie i nie chciał jej zużytkować, powątpiewałby chyba o swej przyszłości; naród, który, jak my, bytu samoistnego nie ma, a na tłumną emigrację jest obojętny, byłby sobie obcym i katem. Niezrozumienie i pomijanie tej sprawy mścić się będzie na naszej przyszłości, a obcym korzyść przyniesie. Jeszcze czas; a więc do dzieła! Niech powstanie w narodzie organizacja ku opiece polskich, katolickich wychodźców (1).

Jednem z pierwszych zadań takiej organizacji będzie zestawienie statystyki emigracyjnej. Dzisiaj właściwie tylko w przypuszczalnych liczbach znamy natężenie prądu wychodzczego. Zauważyłem, że w Bremie i Hamburgu, gdzie po kilkaset naszych wychodźców czekało na okręty, uważano ich za Niemców, Rosjan lub Austrjaków, podciągając ich najczęściej pod polityczną nazwę zaboru, z którego pochodzą. A jednak zapewniano mnie, że stosunek wychodztwa polskiego do ogólnej liczby emigrantów we wzmiankowanych portach jest zawsze taki, jaki był w dniach mojego tamże pobytu, t. j. przynajmniej 70 %.

Dalej powinno takie biuro posiadać możliwie jak najdokładniejsze wiadomości o terrytorjach kolonjalnych, aby nie wysyłać ludzi tam, gdzie klimat zabójczy, ziemia stepowa, warunki nieznośne. Dziś i pod tym względem brak nam dostatecznych, ścisłych, wyczerpujących danych.

Co się tyczy Argentyny i Patagonji, to podobnych wiadomości dostarczę w obfitości w opisach misyjnych, które będę nadsyłał do przyszłych numerów *Wiadomości Salezjańskich*. Informacje te będą ścisłe, autentyczne, bezstronne; wyłożę wszystkie racje i okoliczności *pro* i *contra*, aby społeczeństwo orzec mogło, czy i w jakiej mierze rozwijać się tam mogą osady polskie. Sąd, który społeczeństwo nasze wyda w tej sprawie, będzie praktycznym wynikiem mej pracy.

Żegnam ks. Redaktora braterskim uściskiem.

X. STANISŁAW CYNALEWSKI.



Od Misjonarza Polaka.

W poniżej umieszczonej odezwie nasz misjonarz z Patagonji zwraca się do *Wielebnego Duchowieństwa polskiego* z prośbą o duchowe i materjalne poparcie swych prac misyjnych. Prośbę polskiego misjonarza ze stepów Patagońskich polecamy łaskawym względom nie tylko Wielebnego Duchowieństwa, ale i społeczeństwa w ogólności.

Do Wielebnego Duchowieństwa polskiego.

Euntes docete omnes gentes.

Temi słowy oznaczył Zbawiciel świata święte posłannictwo Apostołów i nasze posłannictwo kapłańskie. A zatem jako kapłani powinniśmy czy pośrednio czy bezpośrednio nad tem pracować, ażeby omnes gentes, *wszystkie ludy wyznawały prawdziwego Boga i doznały dobrodziejstw Jego świętej wiary. Lecz...* quomodo credent ei, quem non audierunt? quomodo autem audient sine praedicante? quomodo vero praedicabunt, nisi mittantur? Ergo fides ex auditu, auditus autem per verbum Christi.

Zaiste, Wielebni Bracia w Chrystusie Panu, na nas kapłanach ciąży nie tylko obowiązek podtrzymywania zasad nauki Chrystusowej w duszach powierzonych bezpośrednio naszej opiece, ale także

(1) Wzór takiej organizacji mamy w Stowarzyszeniu św. Rafała, którego działalność na korzyść emigrantów tak pod względem religijnym, jak materjalnym, jest wcale godną uznania. Towarzystwo to opiekuje się wychodźcami wszystkich narodowości, jest z zasady głęboko katolickie, ale i niemieckie, więc pomimo najlepszych zalet, nie odpowiada w zupełności naszym wymaganiom Jeżeliby utworzenie podobnej organizacji czysto polskiej z główną siedzibą w jednym z najodpowiedniejszych portów a filjami po ważniejszych miastach w kraju, nie mogło rychło przyjść do skutku, trzebaby pomyśleć, czy w porozumieniu ze zarządem nie dałoby się w Stowarzyszeniu św Rafała zaprowadzić oddzielnej sekcji dla spraw polskich.

*

obowiązek starania się, aby i do ludów barbarzyńskich, do szczepów koczujących po niezmiernych stepach i lasach dziewiczych, do plemion żyjących jeszcze w ciemności i błędzie — dotarło jak najwcześniej światło wiary świętej. Tego dobrodziejstwa zaś ci nieszczęśliwi nie dostąpią inaczej, jak tylko ex auditu.

A skoro głos Wasz, Wielebni Bracia, ze stanowiska, jakie zajmujecie w kraju, nie dojdzie do uszu i serc tych istot opuszczonych (a jednak do nas wszystkich w równej mierze odnosi się owo: docete omnes gentes), *to jak do dzikich zamorskich krajów dotrze echo waszej gorliwości ewangelicznej? Przez popieranie duchowe i materjalne tych, których Pan Bóg do zawodu misjonarskiego powołuje. W tej myśli zwracam się do Was z prośbą o poparcie.*

Pojmuję trudność Waszego stanowiska, naprężenie chwili dzisiejszej, drażliwość stosunków, wielkość i nagłość potrzeb miejscowych: wszystko to musi koniecznie do pewnego stopnia krępować waszą hojność na cele misji katolickich. Lecz jeżeli przejmiecie się opłakanym stanem dusz pogańskich jeszcze plemion, jeżeli zważycie wielkie potrzeby misjonarza, jego trudy i mozoły wśród niezmiernych stepów, gdzie całymi miesiącami sklepieniem jego mieszkania jest firmament, miejscem nocnego wypoczynku po uciążliwej podróży konnej ziemia garścią stepowej trawy nakryta; gdzie schronieniem wśród żaru słonecznego lub dokuczliwej słoty nędzny namiot złożony z kilku skór zwierzęcych; gdzie jedynem pożywieniem kęs przydymionego mięsa z dzikiego zwierza lub gadu; gdzie napojem wożona w skórzanych workach, często niemile cuchnąca woda a nierzadko i krew ubitej ptaszyny — o! wtenczas nawet wśród najskromniejszego Waszego dostatku zacność katolickiego serca kapłańskiego poda Wam sposób popierania uciążliwej pracy tych, którzy niejako w Waszem zastępstwie wykonywują zlecenie Boskiego Mistrza: Docete omnes gentes...

Po kilkunastoletniej pracy misyjnej w patagońskich stepach, za pozwoleniem Przełożonych przybyłem na kilka miesięcy do kraju, by rodzinnem odetchnąć powietrzem i nowej do pracy nabrać otuchy. Czas na to wyznaczony dobiega końca. Przed opuszczeniem ojczystej ziemi, od której Najwyższy i w niegodnej mojej osobie żąda owego tributum fidelium nationum *ku krzewieniu wiary świętej, pozwolę sobie niniejszem prosić Was, Przewielebni Bracia, o pomoc i wsparcie, chociażby w kształcie wdowiego grosza. Od Waszej wspaniałomyślności zależeć będą rozmiary i skuteczność prac moich ku chwale Bożej, zbawieniu dusz i Waszej doczesnej i wiecznej korzyści.*

Centuplum accipietis et vitam aeternam possidebitis.

Waszym modlitwom i względom poleca się

Sługa Wasz w Chrystusie P.

X. Stanisław Cynalewski

Misjonarz.

Od Wydawnictwa. — Jak od września z. r. tak i nadal umieszczać będziemy w naszem piśmie sprawozdania i fotografje z pracy naszego misjonarza rodaka. Mamy także zapas pocztówek z widoczkami jego działalności. Kto nadeśle *jedną koronę (jedną markę* lub *pół rubla)* na rzecz misji ks. Cynalewskiego, odbierze pokwitowanie z widokiem misji i podpisem misjonarza. Kto złoży lub zbierze *25 koron (25 marek* lub *10 rubli)* odbierze pamiątkową nagrodę 12 takich pocztówek. — Przesyłki uprasza się uskuteczniać pod takim adresem:

Wiel. Ks. Stanisław Cynalewski

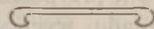
(Austria-Galicja) Oświęcim.

(Zakład salezjański.)



Z DZIEJÓW MISJI

wśród ekwatorskich Kiwarosów.



(Ciąg dalszy).

Pogadanka dyplomatyczna.

Nie zważając na otoczenie, *kepteny* (kapitan) *Kajapa* przeszedł pewnym krokiem przez pokój i przystanął na krok przed biskupem: zadarł głowę, spojrzał mu dumnie w oczy, prawą ręką machnął rezolutnie w bok, lewą uniósł nieco dziryt i tak przemówił:

— *Maagke puhata!* Zdrowie niech ci sprzyja, wielki ojcze. Witam cię w imieniu całego szczepu i kładę go u stóp twoich, abyś uczynił nas narodem potężnym i szczęśliwym.

Ks. biskup powstał, podszedł ku niemu, uścisnął go i zawiesił mu na szyi swój złoty łańcuch z krzyżem, który na chwilę błyszczał na miedzianej piersi kacyka pośród błyskotek i ozdób. Wszyscy oniemieli z podziwu i uszanowania a biskup rzekł uroczyście:

— Tak niechaj jaśnieje twój szczep między sąsiadami, jak ten krzyż na twoich piersiach.

— *Maágketa.* — dziękuję, odrzekł *Kajapa.* — Ty, ojcze, możesz i musisz nas uszczęśliwić. Mówił mi O. Franciszek, iż krzyż ten podźwignął i wzbogacił narody, od których ty przychodzisz. Ja tedy chcę, aby go czcili moi Kiwarosowie i nauczyli się kochać i wspierać wzajemnie. Trzeba ci wiedzieć, że Kiwarosowie wojowali dotąd ustawicznie z sobą, że się mordowali, okradali, podpalali sobie nawzajem domy, uprowadzali żony, nigdy zaś nie umieli pokochać pracy. Stąd grasuje pomiędzy nimi nędza i z każdym dniem maleje ich liczba.

— Oby Bóg wejrzał na twe szlachetne zamiary, mój drogi kapitanie, i dał ci dość siły do świecenia całemu ludowi przykładem.

— Ja pragnę, abyś mi powiedział, co mi wypada uczynić, aby mój naród był tak możny i szczęśliwy, jak twój. Lecz wczoraj mówił mi Nantipa, że i w twoich stronach znajdują się podobni źli Kiwarosowie. Czy to prawda?

— Niestety prawda. Lecz nie zupełnie oni do twoich podobni.

— A czy ich ochrzciłeś? Czy oni czczą krzyż, jak to my zamierzamy uczynić? Albo czy nie mają stosunków z *Igłanci* (zły duch)? Czy oni okradają sąsiada, byle sami nie pracować? Zbierają cudze zboże z pola? Czy i oni nie lubią uprawiać ziemi? Czy i oni odmawiają posłuchu swym naczelnikom, jak moi, którzy przez to nie umieją skupić sił, by stawić czoło najezdcy? Czy i oni się nienawidzą i czy każdy musi chodzić nawet w biały dzień z bronią w ręku z obawy przed napadem? Czy uprowadzają jeden drugiemu żony? Czy zmuszają swe żony do ciężkich i hańbiących robót? Czy porzucają jednę, by drugą pojąć? Tak sobie postępują tutejsi Kiwarosowie; dlatego niewiast u nas coraz to mniej i wnet ich całkiem zabraknie. Lecz i mężczyzn dzielnych już niewielu, gdyż poginęli z bratobójczej ręki, sięgającej po ich towarzyszki. Odpowiedz, odpowiedz ojcze, na moje pytania, gdyż od tego zależy szczęśliwość moich poddanych. Bo jeżeli twoi Kiwarosowie robią to samo, co moi, poprzysięgam na tę włócznię, że nie



Wewnętrzne podwórze zakładu oświęcimskiego.

postoi noga ich w tym kraju. My nie chcem być, jakimi byliśmy dotąd, lecz chrześcijanami, spokojnymi, dobrymi, pracowitymi, sprawiedliwymi: jednem słowem chcemy dojść do tego stopnia rozwoju i dobrobytu, jakim cieszy się twoja ojczyzna.

Przy ostatnich słowach kapitan ujął włócznię tuż obok żelezca, zmarszczył brwi, postąpił krok wstecz i zdawało się, że godzi w niewidzialnego wroga. Ks. biskup w niemałym był kłopocie, jak odpowiedzieć na tę powódź pytań tak prostych a zarazem tak drażliwych. Rzekł więc wymijająco:

— Proś ze swym ludem Boga, mój dzielny *kepteni,* aby nie przyszli do ciebie moi Kiwarosowie, ale jedynie chrześcijanie.

— Słuchaj, ojcze! Ja mam żonę, mam siostrę, mam dwie córki i mam serce, które je kocha bardzo. Dlatego pragnę wiedzieć jak żyją niewiasty w twych stronach, aby i moje nie różniły się od nich. Czy i tamte noszą *taraci* i mają ramiona i piersi obnażone?

— Ja ci dam dla nich odzież, jaką u mnie noszą niewiasty.

— *Maágketa*, *moágheta* — zawołał kapitan.

— I ja mam żonę, rzekł *Nantipa.*

— A ja będę ją miał wkrótce, wtrącił Tujaza, który od dłuższego czasu trzymał oczy utkwione w nowy lśniący scyzoryk, leżący na stoliku. W tej też chwili podszedł, chwycił biskupa za ramię, przechylił głowę na bok i patrząc mu w oczy, rzekł:

— Czy ty myślisz, że mi się nie podoba ten scyzoryk? A dlaczegoż mi go nie dajesz?

— I owszem! Umyślnie dla ciebie go tam położyłem. Weź go sobie.

I musiał zaraz dobyć innych dla reszty.

— Ja widzę, że masz dobre serce, rzekł *Nantipa.* Tymczasem inni chrześcijanie mają serce nędzne: nie dają nic. Pocóż im być chrześcijanami?

— A czy nie masz może i koszul? pytał *Tujaza.* Dlaczego mi nie dajesz czerwonej lub niebieskiej? Czemu nie mam dotąd od ciebie spodni? Czy myślisz, że Kiwarosowie nie lubią się stroić? A jakbym ja mógł tak oto być dobrym chrześcijaninem? W końcu za krótki czas mam się ożenić. Czy mi nie wypada wystroić się w ten dzień odpowiednio?

— Nie bój się o to, odrzekł biskup.

— Mam siostrę i dwie córki, wywodził dalej *kepteni Kajapa*, ale nie mam zamiaru wydawać ich za mąż inaczej, jak według zwyczaju twojej ziemi. Powiedz mi więc jasno, jak się rzeczy mają. — U nas dziewczyna przechodzi nawet wbrew woli w ręce pierwszego lepszego mężczyzny, który jej zażąda od ojca; nieraz bywa gwałtem porywana lub odbijana. Odtąd jest własnością męża i skazana jest na ciężkie roboty, aż się sprzykrzy i aż porzucona przez małżonka musi uchodzić z domu. Są tacy, którzy mają po kilka żon, lecz mnie się zdaje, że w twoim kraju tak być nie może, bo tam potrzeba do małżeństwa wolnej ręki, a łączą się przed ołtarzem z błogosławieństwem wielkiego *Jusy* i nie wolno się mężowi łączyć z inną niewiastą, dopóki pierwsza żona żyje. Powiedz mi tedy, pod jakimi warunkami wychodzą za mąż niewiasty twoich chrześcijan, nie twoich Kiwarosów. Tak bowiem chcę wydać siostrę i córki, aby były kochane, szanowane jako żony i matki, a nie służyły za bydło juczne, jak to zwykle bywa. Na przykład dziki Ramón Huá miał ich siedem: jednę nazywał swoją królową, resztę trzodą.

Z pięknych oczu kapitana padły spojrzenia pełne oburzenia i gniewu; ścisnął kurczowo włócznię i tak mówił podniesionym głosem:

— Jak mi życie miłe! gdyby moja *kaszi*, gdyby moje córki miały tak wyjść za mąż, bez błogosławieństwa *Jusy*, raczej przebiję je na śmierć tą włócznią.

Zapalał się szlachetny mąż a równocześnie zbliżał się do biskupa, aż w końcu znalazł się w jego objęciach. Ojciec Franciszek poprosił go, aby mu podyktował kilka nowych wyrazów kiwaroskich.

— Dziś nie mogę, odparł Kajapa

— Ale tu idzie o to, aby te słowa wydrukować we wielkiej księdze.

— We wielkiej księdze? zawołał Nantipa. W takiej, jaką ma O. Franciszek, gdy we wielkim domu (kościele) czyta ubrany w długie *taraci* (albę), gdy płoną dwa białe drzewka (świece) a żywica pali się na ogniu?

— Właśnie w tak grubej, jak mszał.

Śmiali się ucieszeni Kiwarosowie a Kajapa rzekł;

— Żal mi, że dzisiaj nie mogę. Ale pojutrze znajdziesz mnie na tym oto pagórku na lewo, gdy słońce będzie wschodziło, i tak długo będę z tobą, dopóki ono nie skryje się z drugiej strony za lasami.

Przed odejściem rzekł ks. biskup:

— Słuchaj *kepteni!* Chcesz ty uszczęśliwić twój lud?

— Tak! Chcę, aby był tak potężny, jak twój.

— Skoro tak, to wiedz, że każdy Kiwaros musi czcić i kochać Boga, musi z miłości do krzyża, na którym umarł Zbawiciel, cierpliwie znosić troski tego życia i pragnąć szczęśliwości niebieskiej. Inaczej lud twój nigdy nie będzie spokojny i wieczna żądza pchnie go na drogę nieprawości i gwałtu, które, jak sam przyznałeś, tak was osłabiły i zdziesiątkowały. Gdyż, pamiętaj to dobrze, grzech jest przyczyną wszelkiej ludzkiej niedoli.

— Bardzo dobrze, uczynimy wszystko, czego chce od nas *Jusa. Madgketa!*

Wyszli. Lecz już pod oknem Nantipa odezwał się do kapitana:

— Przyznaję, iżeś mówił bardzo rozsądnie, lecz zarazem muszę ci oświadczyć, iż się nie we wszystkiem z tobą zgadzam. Chciałbyś, żeby odtąd już nie były nasze....

— Pozostaną nasze, ale jako siostry, nie jako niewolnice.

— Co za gadanie! Jeżeli ona moja, to moja własność...

— A nie mówił ci O. Franciszek, że człowiek nie ma prawa własności nad człowiekiem?

— W takim razie co będzie z naszych praw kiwaroskich i zwyczajów?

— Dzielny mój *Nantipo!* A wiesz ty, co to jest prawo?

— Prawo? Co jest prawo? Prawo to wola Kiwarosów.

— Nie, Nantipo! Mówił O. Franciszek, że prawo to wola Boga, równa dla Kiwarosów i chrześcijan.

— Wola Boga, prawo wola Boga, *Jusy,* powtarzał zamyślony *Nantipa.* Masz rację! i oddalił się pogrążony w zadumie.

Biedny filozof! Gdyby był mógł wiedzieć, iż z niejednej katedry uniwersyteckiej bronią wypowiedzianej przez niego zasady, że wola i kaprys ludu są jedyną gwarancją i siłą prawa państwowego, nie byłby tak łatwo ustąpił *Kajapie.*

(Ciąg da'szy nastąpi).



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu styczniu.

Pomocnicy Salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję jca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu styczniu następujące odpusty;

A. — *Zupełne:*

a) W dzień Obrzezania Pańskiego (1. stycznia).

b) W dzień Trzech Króli (6. stycznia).

c) W dzień Katedry św. Piotra w Rzymie (18. stycznia).

d) W dzień Najśw. Imienia Jezus (20. stycznia).

e) W dzień Zaślubienia Najśw. Marji P. (23. stycznia).

f) W dzień Nawrócenia św. Pawła Apostoła (25. stycznia).

g) W dzień św. Rodziny (27 stycznia).

h) W dniu, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

i) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

k) » » w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t z. dobrej śmierci.

l) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu P. Jezusa.

m) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekollekcje.

n) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

d) Ilekroć z sercem conajmniej skruszonem wymówią akt strzelisty: *Marjo, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami: odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyśću cierpiące.

C. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

D. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć *Ojcze nasz, Zdrowaś* i *Chwała Ojcu.*

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kollegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów* trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz, Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).

Misjonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XIII.

Dokąd? — Spotkanie.

Zatopieni w modlitwie, otoczeni zgrają żołdaków, zbliżali się obaj księża z *Sangolqui* ku miastu *Quito*. Noc była jasna, cicha; przyroda cała pogrążona w głębokim śnie — czas najodpowiedniejszy do dumania. I zadumali się też głęboko. Myśl ich uleciała hen za góry i lasy, przewionęła lekko nad falami niezmiernego oceanu i spoczęła tam gdzieś na ślicznych wybrzeżach ukochanej ojczyzny. O jak tu błogo! jaki ruch! jakie życie! Port obszerny, okręt przy okręcie, las masztów przyćmiewa słońce! Przez tłumy ludu przeciska się gromadka misjonarzy spieszących z krzyżem w ręku na okręt. Oczy ich zwrócone wdal, serce przepełnione ideałem najwznioślejszym, żądzą ofiary i męczeństwa...



Oświęcim. - Jadalnia w zakładzie salezjańskim.

— Panowie, pójdziecie na policję, odezwał się wtem jeden z żołnierzy.

Te słowa wyrwały misjonarzy z ich złotych marzeń. Zegar na wieży kościoła św. Franciszka wybijał właśnie wpół do czwartej. Wjechali do miasta. Ulice były jeszcze puste; ani żywej duszy nie było widać na rynku, który tego dnia miał się zbroczyć krwią ludu narażającego się na strzały armatnie w obronie OO. Franciszkanów.

Z rynku wjechano na jedną z głównych ulic miasta, gdy nagle gromada chłopców zastąpiła im drogę. Byli to wychowankowie naszego zakładu w *Quito*. Skoro tylko poznali Salezjanów z *Sangolquì*, rzucili się ku nim, pragnąc ich powitać, uściskać, pocieszyć, ale żołnierze nie dopuścili do tego. „Co tam musiało zajść w zakładzie, kiedy wychowankowie tułają się o tej godzinie po ulicach miasta?“ pytali się nawzajem księża. „Jaki los spotkał drogich współbraci?“

Tymczasem przybyli na policję, lecz tu zapytano ich się tylko o nazwiska i wysłano dalej z połową pikiety. Minęli więzienie, minęli koszary artylerji, gdzie wtedy trzymano więźniów politycznych — a żołnierze w milczeniu dalej, wciąż dalej ich prowadzą. Już ostatnią uliczką wychodzą z miasta, są w otwartem polu. Niema wątpliwości. Tu za miastem, zdala od mieszkań czeka ich los tylu innych misjonarzy. Jeszcze chwilka a leżeć będą na ziemi z piersią kulami przeszytą... Jakoż i całe otoczenie przystraja się do tej uroczystej ofiary. Ostatnie promienie zachodzącego księżyca walczą z różaną zorzą, która oblewając strumieniem światła majestatyczne szczyty Andów, zsuwa się zwolna po stokach gór na płaszczyznę. Jak pod różczką czarodziejską wynurzają się kolejno z mroku lasy, pola i łąki ozdobione miljonami błyszczących dyamentów.

Jeszcze kilka minut drogi i misjonarze stają na małem wzgórzu. Jakiś oddział żołnierzy tam stoi a pomiędzy nimi siedzi smutnie na swych tłumoczkach kilku księży: sąto Salezjanie z Quito z ks. Calcagno na czele. Następuje wybuch radości i czułe powitanie, po którem przybyli pytają rozpromienieni:

— To nas wszystkich razem rozstrzelają?

— Dałby Bóg, odpowiada ze łzami ks. Calcagno. Nie jesteśmy jeszcze godni tej łaski. Czeka nas los o wiele gorszy, wygnanie z tego nieszczęśliwego kraju. (*Ciąg dalszy nastąpi*).

MISJE SALEZJAŃSKIE

Was Bóg umiłował — wasza twarz wesoła,
A nam Chama wyrok wstydem pokrył czoła;
Nasz duch, nasze ciało bez szat.
Wam niebios nadzieja trud życia osładza,
Ostatnie konanie do życia wprowadza —
Wieczności uśmiecha się kwiat.
Nam w życiu dokucza skwar słońca i głogi,
Nas toczą przy śmierci gorsze nad śmierć trwogi:
Po śmierci nam piekło i kat.
Przybądźcie! przybądźcie o wy, co kochacie,
Po ścieżkach zakonu do nieba stąpacie —
Do nieba pokażcie nam ślad.

Od 2000 lat rozbrzmiewa śród pogańskich ludów ten lament, a dziś jeszcze powtarza go przeszło 700 miljonów dusz nieznających drogi do nieba. Jakże mało posłuchu znalazło dotychczas to gorące pragnienie Najsłodszego Serca Jezusa: „Nauczajcie wszystkie narody!" Jakże wdzięczne pole zasług otwiera się czcicielom tego Boskiego Serca, któremu nic przyjemniejszego nie można uczynić, jak rozszerzać coraz więcej ten płomień świętej miłości Bożej, wybuchający z poznania prawdziwego Boga. Lud polski jest gorącym czcicielem tego Boskiego Serca, lecz jakże spełnia Jego najgorętsze pragnienie nawracania dusz? Nie brak misjonarzy Polaków, ale 20 miljonowy, na wskroś katolicki naród powinien ich wydawać więcej. Każdy powinien przyłożyć rękę do dzieła rozkrzewiania wiary św. już z samego poczucia wdzięczności za odebrany dar wiary św. Kto nie może iść na misje, powinien być misjonarzem w własnem otoczeniu, zwłaszcza w rodzinie i w szkole, pracując w tym kierunku, aby w młodzieży wyrobić więcej ducha poświęcenia. Brak nam bohaterów. Uczmy zatem młodzież patrzeć na świat szerokim umysłem i wielkiem sercem; nie zasklepiajmy jej pojęć w granicach domu i jednego kraju:

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!



MATTO GROSSO.

Osada Najśw. Serca.

(List misjonarza ks. Balzoli).

1. czerwca 1906 r.

NAJUKOCHAŃSZY KS. RUA!

Wiedząc, jak chętnie czytasz wiadomości o naszej misji, cieszę się, ilekroć mogę zebrać wiązankę nowin i z tobą się niemi podzielić. Dzięki Najsł. Sercu Jezusa i Najśw. Marji Wspomożycielce, nasze prace upoważniają nas do najpiękniejszych nadziei. Spodziewam się, iż o tej porze odebrałeś już, czcigodny Ojcze, pocieszające sprawozdanie naszego gorliwego ks. inspektora Malana z ostatniej wizyty. Uważając to więc za rzecz już dokonaną, mówić będę tylko o tem, czego on nie mógł być świadkiem.

Ponownie febrą zagrożeni. — Wypadek najcięższy. — Pomoc niebieska.

Także i w tym roku w samym miesiącu św. Józefa pojawiła się febra, która zeszłego roku trzykrotnie dziesiątkowała przybyłych z *Rio das Mortes Indjan*. Już miały się powtórzyć rozdzierające sceny z przed roku i obawiałem się, iż dzicz opuści osadę. Były to dni nieustannego przywoływania mnie do lepianek, ciągłych próśb o ratunek, a mianowicie nalegających pytań: „Ojcze, a czy umrę?" Z cię-

żkiem sercem udawałem się do nich, podawałem to lub owo lekarstwo, ale wobec pytań, czy ten lub ów umrze, byłem w wielkim ambarasie. Jednakowoż ufając w Opatrzność Bożą, zapewniałem, iż nie umrą. Biedakom wracała wtedy otucha, ale gdy który z nich zapadał ciężej, znajdowałem się w poważnych kłopotach.

Jak już niegdyś pisałem, gdy ich *bari* t. j. kapłani i lekarze zawyrokują, iż ten lub ów w ten a ten dzień, tej a tej godziny skona, a to nie następuje, tedy go duszą; a jeżeli zapewniali, że nie umrze, a potem umarł, to zwalają winę na nieboszczyka, utrzymując, iż musiał obrazić *bope* (złego ducha), jedząc wzbroniony pokarm: i tak mają zawsze słuszność. Ale ja? Otóż niech czcigodny Ojciec zważy dziwne zrządzenie Opatrzności Bożej. Ich *bari* wraz z 10 ludźmi wyruszył był na 2-tygodniowe łowy. W ciągu tego czasu zachorowała jego krewna, żona nawróconego już Ambrożego Turiccia. Zapadała coraz ciężej. Pewnego wieczoru przybył do mnie chłopiec z prośbą, abym chorej zaniósł *dziorubokuru* (lekarstwo). Skończywszy wieczerzę, zabrałem z sobą niektóre lekarstwa i poszedłem. Struchlałem, gdym na wstępie do *aldei* usłyszał żałosne zawodzenia: drżąc z obawy, iż może skonała bez chrztu św., wstąpiłem i zobaczyłem ją rozciągnioną na ziemi, zwyczajem pogańskim całą pomalowaną *ukurù* wśród narzekania, załamywania rąk przyjaciółek i krewnych, z których jedna ręką napełnioną ową farbą szkarłatno-czerwoną namazywała dalej dogorywającą. Zgromiłem je za takie nieschlujności, ale mi odrzekły, iż musiały to uczynić, bo poczęła konać. Uklęknąłem przy niej, zawołałem ją kilkakrotnie po imieniu, ale nie dała znaku przytomności . Charczenie stawało się już urywanem, puls zaledwie uchwytnym, kończyny ciała były już lodowate. Prędko wylałem wodę chrztu św. na jej głowę, zdany na to, że lada chwila zgaśnie. Na tę myśl całe brzemię trosk zaciążyło na mej piersi: umrze, posłały już po jej męża, który ją zastanie pogrzebioną, zaczem porzuci te okolice i zabierze z sobą braci, dobrego Jakóba, Augustyna, Wincentego i starego ojca Tobiasza; słowem widziałem już przed sobą formalną emigrację. Co wobec tego miałem począć? Było to podczas nowenny do św. Józefa. Z wielką wiarą (ale muszę wyznać — z małą nadzieją, bo widziałem na chorej wszystkie znaki blizkiego skonu) poleciłem ją wielkiemu Opiekunowi oraz Najśw. Sercu P. Jezusa i Najśw. Marji Pannie Wspomożycielce, a odchodząc, zwróciłem jeszcze kilka słów otuchy do otaczających. W duszy myślałem sobie: „Jeżeli otrzymam tę łaskę, muszę ją koniecznie ogłosić w „Wiadomościach Salezjańskich." Otóż, Najdroższy Ojcze, gdy mąż chorej powrócił, niebezpieczeństwo dawno już było minęło, chorej polepszało się z dnia na dzień i mogłem raz jeszcze powiedzieć do otaczających: „O jak dobry jest *Papai Grande* i *Muga Grande* Marja." A dzięki P. Bogu, był to jedyny wypadek tak ciężki.

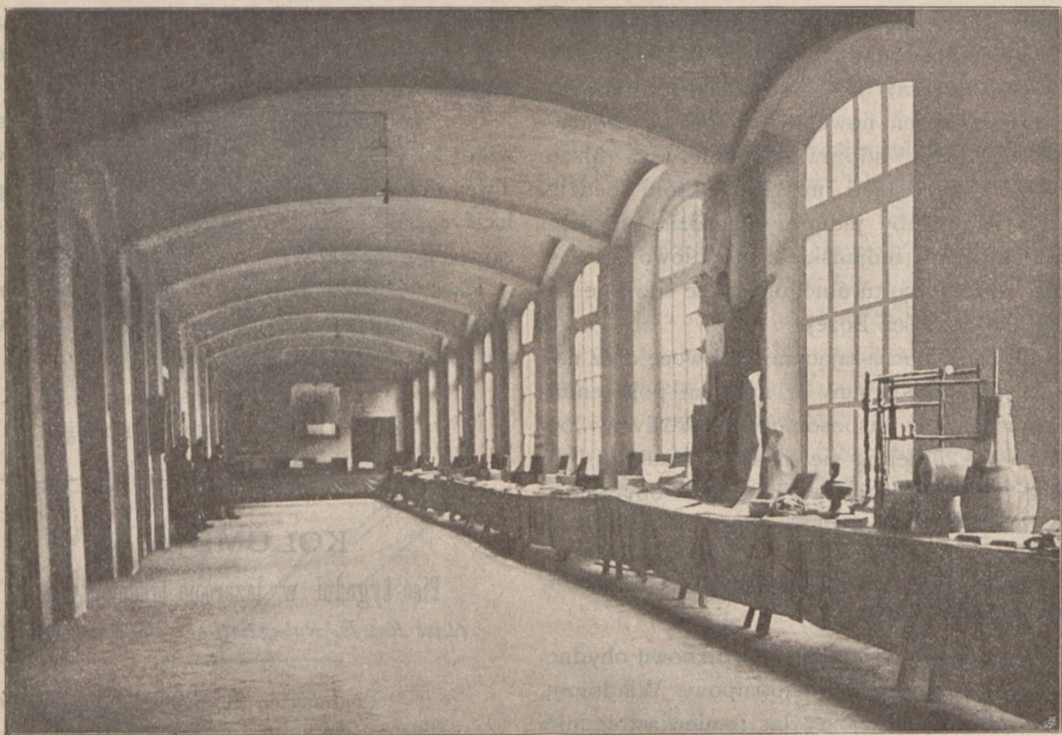
Pierwsza komunja św. — Miesiąc maj. — Kwiaty dla Najśw. Panny.

Jak już Przew. Ojcu pisałem był, przygotowywaliśmy kilkoro dziatek do pierwszej komunji św. na Boże Narodzenie, ale dla różnych powodów obrzęd ten musieliśmy odłożyć na później. I obraliśmy na to Niedzielę Palmową, na który to dzień miał do nas zawitać ukochany ks. inspektor. O tem tak ważnem zdarzeniu, jak również o radości, jakiej doznaliśmy w onym dniu,(w którym dokazała swego także kapela złożona z młodych Bororosików), nie będę mówił, jako o rzeczy znanej już ze sprawozdania ks. inspektora. Nie mogę atoli przemilczeć wzruszenia, jakiego doznałem, kiedy w następną sobotę te same dziatki przewyższyły same siebie i zwróciły się do mnie z prośbą o spowiedź, aby mogły ponownie przystąpić do komunji św. Teraz przyjmują Sakramenta święte nietylko często, ale z nabożeństwem, skupieniem ducha, z całą świadomością aktu, jaki spełniają.

Na widok tego rozkwitu pobożności wśród chłopców i dziewcząt, postanowiłem urządzić uroczystość Najśw. Marji Panny Wspomożenia Wiernych z większą okazałością i przygotować na ten dzień inne dzieci do pierwszej komunji św. Rozpoczęliśmy przeto miesiąc Marji od tego, żeśmy zgromadzali dziatki do spólnego odmawiania różańca św. Co przytem w szczególniejszy sposób ożywiało ich pobożność, to obraz Najśw. Wspomożycielki,

który nam przywiózł był przew. ks. inspektor; ustawiono go na prościuchnym ołtarzyku w ubogiej słomą krytej kapliczce. W pierwszych dniach przyniosłem ja sam kilka bukietów i złożyłem je u stóp obrazu. W pierwszą niedzielę mówiłem o Najśw. Pannie i opowiedziałem zdarzenie, o którem św. Alfons Liguori wspomina w *Uwielbieniach Marji:* jako pewna pasterka, która przez cały miesiąc Marji znosiła wieńce do obrazu Matki Boskiej, zasłużyła sobie na to, iż w godzinę śmierci widziała u swego łóżka Najśw. Pannę pośród orszaku dziewic niosących ofiarowane przez nią wieńce. „Tak powinniście i wy czynić, rzekłem: *Keragudzi, ekkorebba, magari makakai Muga grande Maria; Maria taido makaguraga medo pikiriri*..... zanieść kwiatów wiele, dać Wielkiej Matce Marji, Marja będzie bardzo zadowolona z dziatek. I poskutkowało. Po mszy św. dziatwa rozbiegła się wlot za kwiatami i przyniosła ich poprostu całe snopy do stóp obrazu. Pochwaliłem ich dobre chęci i odtąd nie było dnia, w którymby kwiatami nie zdobiły obrazu Najśw. Marji Wspomożycielki.

Ponieważ miesiąc Marji upływał śród tak osobliwego nabożeństwa, spodziewałem się jakiejś szczególniejszej łaski, któraby była niejako nagrodą za dobre chęci naszych Indjaniątek; W tem naprężeniu wyglądaliśmy dnia 24. maja, gdy z Kuyaby odebrałem telegram, który wprawdzie odroczył naszą uroczystość, ale mimo to był dowodem wielkiej dobroci Marji.



Oświęcim - Sala rekreacyjna *(w czasie wystawy przemysłowej).*

Podarek Najśw. Panny. — Trzecia osada.

O 130 km. od naszej osady w kierunku Kuyaby leży piękna posiadłość z zabudowaniami, końmi, krowami, mułami, wołami i t. d. naszego wielkiego przyjaciela i dobrodzieja d[ra] Santos, która od pewnego czasu wystawiona była na sprzedaż. Nasz ks. inspektor chętnie byłby ją nabył na rzecz naszych Indjan, gdyby był rozporządzał jaką sześćdziesiątką tysięcy lirów. Gdy się atoli nie zjawił żaden kupiec,

właściciel, zachorowawszy, postanowił oddać ją za cobądź Salezjanom, nietylko aby uchronić rodzinę od kłopotów, ale żeby poprzeć naszą zbawienną pracę. To też ks. Malan mógł przy pomocy opatrzności Bożej 15 maja, w pierwszy dzień nowenny do Najśw. Marji Wspomożycielki, zawrzeć kontrakt kupna. Telegram przyniósł mi właśnie rozkaz, abym poszedł objąć trzecią stację misyjną. Trzy dni potem umarł biedny dr. Santos. Pokój jego duszy! Oby znalazł u Boga godną nagrodę za swoje miłosierdzie.

Otóż kontrakt, jak powiedziałem, zawarto w pierwszy dzień nowenny, a w samą uroczystość 24. maja odprawiałem pierwszą Mszę św. w nowej stacji misyjnej, która będzie służyła na to, aby jednoczyć bardziej ucywilizowane rodziny indjańskie i stopniowo zbliżać je do świata kulturalnego. Jakże dziwne są drogi Opatrzności Bożej!

Jakkolwiek pocieszającymi są owoce oraz nadzieje jakie pokładamy w młodem pokoleniu, to smutne jest usposobienie dorosłych, bo chociaż nie opierają się naszym naukom, to jednak nie porzucają swych dzikich obyczajów i szatańskich nieraz zabobonów.

Dziwaczny obrzęd. — Przypuszczenie 4 chłopców do oglądania „Aidże.''

W ostatnim czasie powtórzyli znowu ohydne obrzędy czyszczenia kościotrupów. Wiadomo, iż chłopcom poniżej 15 lat i niewiastom nie wolno na to patrzeć, ponieważ — „umarłyby niechybnie!'' Chłopcy, doszedłszy lat 14 lub 16, poddawać się muszą specjalnemu obrzędowi. Byłem przy tem, bo między kandydatami znajdował się także jeden z naszych wychowanków, którego ojciec podstępem uprowadził z osady. Udałem się do *aldei* i tam okazałem swoje oburzenie z tego powodu, iż uprawiają takie gusła nawet z chłopcami, co już przyjęli chrzest św. Ale *bari* i kacykowie uniewinniali się, twierdząc, iż tak musi być koniecznie; obiecali jednak, że to raz ostatni. Patrzałem, jak ich farbili płynem *uruku*.

Taksamo udekorowali się niektórzy ze starszych. Dwóch z nich uwalało się w błocie od stóp do głów. Innych zdobiły liście i palmy. Chłopcy siedzieli półkolem w *bayto* (namiot wyznaczony do obrzędu) z łukiem i kołczanem w ręku. Starsi oddalili się na jakie 200 m., następnie zbliżali się jedni tupiąc nogami, drudzy idąc na czworakach, inni niosąc i obracając *aidże;* wszyscy zaś krzyczeli w niebogłosy, udając różne zwierzęta. Gdy się zbliżyli na odległość 100 m., wyruszyli z namiotu chłopcy z resztą starszych, a gdy się oba orszaki spotkały, rzucono się hurmem na biednych chłopców, zarzucając ich formalnie błotem... następnie pokazano im *aidże* — po raz pierwszy. Po skończonym obrzędzie dałem chłopcom mydła, aby się mogli umyć.....

Oto, kochany Ojcze, nasz tryb życia i nasze widowiska! Kończę, nie chcąc dłużej nadużywać Twej dobroci; proszę tylko gorąco, abyś polecić raczył naszą biedną misję ofiarności naszych Pomocników.

Racz, najukochańszy Ojcze, przyjąć nasze najserdeczniejsze pozdrowienia i pobłogosławić nas wszystkich, osobliwie zaś

najposłuszniejszego w J. i M.
Ks. Jana Balzolę.

KOLUMBJA.

Pięć tygodni w lazarecie trędowatych.

(List Ks. E. Rabagliati'ego do Ks. Rua).

Contratacion (Kolumbja), 22. lipca 1906 r.

Czcigodny i najukochańszy Ojcze!

I tym razem przebrnęliśmy szczęśliwie przez Acheront. Z udzieleniem sakramentu bierzmowania, misja nasza tegoroczna w tym szpitalu została spełniona; jutro, po 32-dniowym przystanku, ruszam do *Bogoty*. Były to dni iście „pełne.'' Pierwszy tydzień zeszedł na przyodziewaniu całej tej wielkiej familji. Z *Bogoty* ruszyło wraz ze mną dziesięć mulic obarczonych odzieżą nabytą za pieniądze rządowe. Stanąwszy na miejscu, zastałem stan rzeczy, który mnie trochę wyprowadził z równowagi; najprzew. ks. biskup del Socorro podał mi był przed miesiącem telegraficznie dokładną cyfrę chorych, wedle której też zarządziłem zakupno; atoli na miejscu znalazło ich się 103 więcej — wszystko dobrowolni lub poniewolni przybysze

z ostatnich 30 dni, a na domiar złego najwięcej potrzebujący. Jak tu sobie było poradzić? Musiano kroić płótno jak najoszczędniej, zaniechać na razie szycia bluz dla mężczyzn i niektórych mniej potrzebnych części ubrań dla kobiet, i tak starczyło dla wszystkich. Niech będą za to dzięki P. Bogu, bo wszyscy są zadowoleni, błogosławiąc z głębi serca troskliwego i szczodrego prezydenta republiki, generała Rafała Reyesa, który śród tysięcznych zajęć urzędowych umie nieustannie i skutecznie zajmować się chorymi braćmi, zamkniętymi w szpitalach i nie pozwala, żeby im miało na czem zbywać.



P. Jenerał Rafał Reyes, prezydent republiki kolumbijskiej.

Istotnie od roku prowadzi się tutaj życie dosyć znośne; głodu nikt tu już nie cierpi, bo co tydzień wypłaca się skrupulatnie ustawową zapomogę każdemu trędowatemu. Przed dwoma laty zapomoga ta wynosiła dwa pesos dla każdego chorego, potem podniesiono ją do pięciu, następnie do dziesięciu a przed kilku miesiącami do piętnastu pesos. A wiem na pewno, iż było wolą p. Reyesa dać każdemu choremu po 20 pesos (=1 korona) i wydał już odnośną notę do ministerstwa skarbu; ale uznano za stosowne spróbować od 15 pesos i pokazało się, iż to wystarcza na wyżywienie, zwłaszcza iż po za tem pomyślano o zaopatrywaniu chorych także w ubrania i pomoc lekarską, co się już dzieje od roku. Jakże się zmienił szpital w tych ostatnich czasach! a chwała Bogu, że się tak stało, bo i Salezjanie i Siostry Wspomożycielki usługujące chorym, czują więcej otuchy w spełnianiu swej misii, widząc zadowolenie kalek.

W ostatnich trzech miesiącach wydałem przeszło 40000 lirów na same ubrania dla trędowatych w *Agua de Dios* i *Contratacion;* tych pieniędzy dostarczył mi ze wspaniałą szczodrobliwością rząd, któremu jednomyślnie przyklasnął cały naród.

Inne jeszcze nader ważne ulepszenie nastąpiło w szpitalu; nigdy dotąd nie zdołano pozyskać dla trędowatych lekarza zdrowego. Wyobraź sobie, drogi Ojcze, taki kilkaset chorych mieszczący szpital bez lekarza! Z tego właśnie powodu wielu chorych nie chciało doń wstępować, bo brak lekarza kazał przypuszczać brak lekarstw lub brak rozumnego ich zastosowania. Stąd prawie nikt nie wstępował dobrowolnie do szpitala, ale każdego musiano gwałtem doń wtrącać. Teraz natomiast w *Agua de Dios* jest dwóch lekarzy zdrowych, wysoko płatnych (jeden pobiera 1000 drugi 750 lirów miesięcznie), prócz trzech młodych, niestety chorych (rozumie się na trąd) praktykantów.

Contratacion będzie również miało swego lekarza, już urzędowo nominowanego. Jeżeli go tu jeszcze niema, to tylko dla kraku odpowiedniego pomieszczenia.

Ta jedna reforma przyniosła pokaźne korzyści: doszło już do tego, iż teraz dla braku miejsca trzeba wielu zgłaszającym się odmówić przyjęcia, a to w myśl dekretu rządowego, który też zarządził przerobienie kilku domów w *Agua de Dios* na schroniska dla chorych, podczas gdy szpital w *Contratacion*, jak się zdaje, zostanie przeniesiony na odpowiedniejsze miejsce; komisja w tym celu zawiązana upatrzyła na to miejscowość *Cepitá*, położoną stąd o 16 staj na prawym brzegu rzeki Jordanu. Będzie to istny raj dla naszych drogich braci, z których ci, co tę okolicę znają, nie mogą się doczekać chwili udania się tamże. Ale o tem pomówię w następnym liście, skoro tylko otrzymam ostateczną odpowiedź pana generała Re-

yesa, który chcąc osobiście decydować w tej nad wszelkie inne ważnej sprawie, zawarował sobie prawo wyboru miejsca na podstawie sprawozdań, które mu przedstawi komisja (1).

Lecz rozgadałem się nie do rzeczy — wracam więc do tego, cośmy czynili w drugim tygodniu pobytu w szpitalu. Był on cały poświęcony rozrywce. Około czwartej każdego wieczora dawano znak dzwonem, zaczem wszyscy chorzy zbierali się przed domkiem kapelana, mężczyźni ze stołkami, niewiasty z małymi dywanami (tymi samymi, na których w kościele dla braku ławek klękają i siadają). Gdy się wszyscy zebrali, wkładałem do woreczka 500 losów, od 1 do 500. W osobnej książce były spisane imiona wszystkich chorych z odnośną liczbą.

Wyciągano los. Posiadacz numeru miał prawo do jednego z licznych fantów wystawionych na widok publiczny. Były to chusteczki, szkarpetki, kapelusze, grzebienie, *alpargates* (rodzaj sandałów sporządzonych z samych powrózków, jedyne obuwie, jakie mogą nosić trędowaci), spodnie, marynarki, koszule i. t. d. Było też tam każdy dzień po kilka wełnianych kołder, parasolek i t. p.; w braku przedmiotów zastępowano fanty kwotą pieniężną większą od 1 franka. Co wyszła jaka grubsza wygrana, to szczęśliwca uczczono przegrywką lub śpiewem gramofonu, którego nie zapominam nigdy, udając się do szpitala. Słowem spędzano wesoło dwie godziny, a w ciągu tygodnia wyszła liczba każdego uczestnika i otrzymał swój fant ku nieopisanej radości całego zebrania. Trzeci tydzień poświęcono rekolekcjom, które wydały skutki pocieszające. Rano o 7ej, wieczorem o 6*tej* (na kazaniu), w południe o dwunastej na katechiźmie, kościół był zawsze przepełniony, czego nie zauważyłem nigdy w latach nbiegłych; zapał podnosił się z dnia na dzień aż do końca rekolekcji, którym P. Bóg pobłogosławił w sposób iście osobliwy. Najbardziej łaknącymi słowa Bożego byli ci, co w liczbie około 200 przybyli do szpitalu w ostatnich miesiącach a gwoli swego stanu nie mogli od lat uczęszczać do kościoła. Lwia część pracy spadła na barki trzech spowiedników, którzy musieli pracować dniem i nocą, aby zadowolić wszystkich. W czasie rekolekcji, które trwały ośm dni, udzielono przeszło 2000 komunji św., gdyż, oprócz 500 trędowatych jest spora liczba tych, co dobrowolnie towarzyszą chorym, a wiele osób przybyło także z okolicy.

Czwarty tydzień przeznaczono na 40 godzinne nabożeństwo, które się też odbyło z wielką okazałością, temwięcej że to uroczystość w tym szpitalu prawie nowa, bo po tylu latach obchodzono ją dopiero po raz drugi. Prawie wszyscy chorzy, dobrze usposobieni co dopiero odbytemi rekolekcjami, przystąpili powtórnie do sakramentów św. W piąty i ostatni tydzień przystępowano do bierzmowania tych, co jeszcze nie byli przyjęli tego sakramentu św., a ponieważ znalazło się nieco wolnego czasu, wznowiono loterję i wydobyto gramofon . . . . . w czem owi poczciwcy znajdują rozkosz nie do opisania. Dzień ostatni mojego pobytu przeznaczono na pierwszą komunję św. dziatek.

Wybacz, drogi Ojcze, iż dla braku czasu rzuciłem na papier to sprawozdanie tak bez ładu i składu. Pobłogosław czterem Salezjanom zajętym w szpitalu, sześciu siostrom Marji Wspomożycielki pielęgnującym chorych, oraz wszystkich tych drogich trędowatych, którzy również liczą się do twych dzieci. A szczególniejsze błogosławieństwo przyślij Twemu

najprzywiązańszemu w Panu

Ks. Ewazemu Rabagliatiemu.

(1) W późniejszym liście (z 12 sierpnia) ks. Rabagliati pisze, iż zaledwie zawitał szczęśliwie do Bogotà, został zaproszony do pana prezydenta, który go przyjął pokazując dekret przeniesienia szpitala. Jednocześnie z ramienia rządu udali się do *Cepità* ks. biskup del Socorro i gubernator owego departamentu, celem nabycia sześćdziesięciu czy siedmdziesięciu domów miejscowych: zatem w grudniu lub w styczniu (najpiękniejsze w Kolumbji miesiące letnie) będzie można urzeczywistnić plan przeniesienia szpitalu. Będzie to po wszystkie czasy pomnikiem gorącego patrjotyzmu i ruchliwości obecnego prezydenta rzeczypospolitej.



WIADOMOŚCI POTOCZNE



OD WYDAWNICTWA. — Nasz misjonarz *ks. Stanisław Cynalewski* listem umieszczonym w niniejszym zeszycie pod nagłówkiem: *W sprawie emigrantów naszych* rozpoczyna publikację opisów swej pracy misyjnej na stepach patagońskich. Bardzo interesujące szczegóły życia apostolskiego, posiadające pod względem geograficznym cenną wartość naukową, uzupełnione będą bezstronnemi uwagami na temat tamtejszej *kolonizacji polskiej*, datującej się od lat mniej więcej ośmiu. Dla dobra ogółu a mianowicie dla jak najrychlejszego przeprowadzenia sanacji naszych anormalnych stosunków emigracyjnych, uprasza autor **Szanowne Redakcje** pism polskich **i poszczególne jednostki** interesujące się kwestją naszego wychodztwa, aby uwagi jego uzupełniać chciały swemi spostrzeżeniami. Autorowi nie chodzi bynajmniej o imponowanie swoją myślą i doświadczeniem, ale raczej o praktyczne i korzystne rozwiązanie niezmiernie ważnej a tak bardzo zaniedbanej kwestji emigracyjnej na korzyść klas biednych, które tak często w swych wędrówkach światowych padają ofiarami wyzysku i haniebnej spekulacji.

Równocześnie zwracamy się z gorącą prośbą *do wszystkich naszych misjonarzy rodaków*, aby zechcieli wzbogacać nasze pismo swymi listami, jak w pierwszych latach wydawnictwa. Redakcja (w Oświęcimiu) przyjmie z wdzięcznością każdą wiadomość i zamieści ją w najbliższym numerze ku wielkiemu zadowoleniu szanownych Czytelników, którzy często *domagają się korrespondencji polskich misjonarzy*. Najmilsi Bracia z zimnych kończyn południowych, i Wy z republik ciepłych, słonecznych, i z Ziemi Świętej i z wszystkich zakątków świata, nawiążcie serdeczną pogadankę z rodzinnym krajem. Czekamy na to. Nie róbcie nam zawodu!

OŚWIĘCIM. — **WAŻNE!** — Zwracamy naszym Zacnym Dobrodziejom i Przyjaciołom uwagę na to, że *uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej* przypada tego roku w *sobotę*, 2. lutego. Wszyscy chętnie spędzają to święto w rodzinie, bo poświęcona w tym dniu świeca woskowa jest pamiątką tylu dni dla rodziny i smutnych i wesołych, zawsze jednak ważnych. Ale zato nazajutrz **w niedzielę, 3. lutego,** kto może, niech się wybierze do Oświęcimia na **uroczystość św. Franciszka Salezego.** Kiedy brzemię trosk naszych, naszych bólów i rozczarowań z dnia na dzień rośnie i swoim ciężarem nas przygniata, skierujmy swoje kroki tam, gdzie u stóp ołtarza bóle cichną, duch się krzepi, serce z Bogiem pojednane odmładza się i raźniej bije. Każdy stąd odjeżdża z lepszą myślą. Nikt tej drogi jeszcze nie pożałował. Przyjeżdżajcie nie tylko sami, ale z licznem gronem znajomych, którzy Wam będą wdzięczni za dzień takiego wytchnienia, o jakiem w domu marzyć nie można. — *Wszyscy więc do Oświęcimia!!*

AMERYKA.

KURYTYBA (Brazylja). — Za *Gazetą Polską w Brazylji* (n. 40 z dnia 4. 10. 1906) powtarzamy niektóre ustępy z listu naszego misjonarza ks. Stanisława Cynalewskiego do emigrantów polskich w Ameryce Południowej.

» Nie wątpię, że Polonia w południowej Ameryce z innych źródeł uwiadomioną będzie o wspaniale odbytej uroczystości na Jasnej Górze z okazyi poświęcenia nowej, wspaniałej w niebo sterczącej wieży. Wszelako pozwolę sobie niniejszem powiadomić Polonię w Ameryce południowej o szczególe, który jakkolwiek niewinny sam w sobie, wystawić mógłby niżej podpisanego na zarzuty samozwańswa z powodu, żem nieznany, bez żadnego upoważnienia pozwolił sobie w tak uroczystej chwili wystąpić jako przedstawiciel braci Polaków zamieszkałych na południowej półkuli naszego planety. Boć też ciężko i boleśnie na sercu mi było, gdym widział z różnych stron liczne przedstawicielstwo u stóp Niebieskiej Naszej Królowej, a nikt nie odzywał się z poselstwem hołdu dla Matki Bożej w imieniu dość licznej braci z Ameryki południowej. Nie miałem odwagi przypisywać sobie poselstwa, do którego nie byłem upoważnionym, gdyż zresztą li tylko zbieg opatrznościowych okoliczności sprowadził mnie z Patagońskich stepów na to miejsce święte właśnie w chwili tak wzniosłej, tak uroczystej a tak symbolicznej dla naszego narodu w odbudowaniu wieży Jasnogórskiego klasztoru. — Chwilę walczyłem ze sobą, aż wreszcie z przypuszczeniem tych samych popędów w sercach mych braci z za morza, wśród zapału otaczających oświadczyłem, że w owej chwili tysiące serc polskich aż z poza krain równika łączą również swe uczucia w wieńcu zdobiącym odbudowaną wieżycę, a plecionym z świeżych kwiatków **wiary** w przyszłość, **nadziei** lepszej doli i wspólnej **miłości.** Jeżeli więc kochani Bracia z za morza, tem samozwańczem oświadczeniem ubliżyłem Waszej godności i poczuciu, jeżeli zapewniając o Waszych uczuciach, przywiązaniu, czci i pobożności do Jasnogórskiego grodu, zawiniłem wobec Was, napiętnujcie surowo lekkomyślność mojego postąpienia. Za złe Wam tego nie wezmę, i owszem chętnie zniosę przykre następstwa mej gorliwości i zapału o Chwałę Tej, która jest naszą doczesną i wieczną Królową. Lecz jeżeli moje oświadczenie zgadza się z uczuciem serc Waszych, dołączcie, proszę Was, i Wasze pobożne westchnienia do tych, które podczas ofiary Mszy św. przed cudownym obrazem złożyłem u stóp Maryi na Waszą i Narodu całego intencyę . . . .

» Pragnąc po kilkunastoletniem tułactwie, widokiem drogich sercom naszym pamiątek odświeżyć te uczucia, co stanowią węzeł miłości ku Ojczyźnie,

w zamiarze objęcia mą wyobraźnią obszerniejszego krajobrazu, przebiegłem przestrzeń od grodu Lecha do Jasnej Góry a stamtąd do stolicy Krakusa.

Jakkolwiek w raźnym pochodzie, to jednakowoż nie inne jak naszego poety pojęcie wyrobiło się w mojej myśli. ,,Piękna nasza Polska cała, piękna żyzna i nie mała". A jeżeli tak jest w rzeczywistości, o czem przekonać się nie trudno, pocóż więc szukać szczęścia w dalekich nieznanych krainach odstraszających groźnemi swemi plagami? Pocóż więc porzucać tę Ojczystą glebę na pastwę nieprzyjaciół naszych, by ssali z niej krew i pot naszych przodków?

» Któż z Was Bracia na obczyźnie nie zatęskni za Ojczyzną drogą, za rodzinną wioską, za tym skromnym a tak miłym zawsze kościółkiem, za tylu a tak cennemi dla serca polskiego pamiątkami? Ileż to razy łzą zalana źrenica ócz Waszych zdradziła walkę jaką w duszy staczacie z tęsknoty za Ojczystym krajem. O, ileż to razy smutna nastręczała mi się sposobność osuszania takich łez, kojenia takiej boleści powodowanych nieroztropnem opuszczeniem kraju. O, jak bluźnierczem jest Wasze sumienie dla uniewinnienia waszego występku względem Ojczyzny, że ona wyżywić Was nie była w stanie; że zagon po Ojcach waszych wyzyskiskiwany od wieków nie starczył już chleba dla Was i rodziny. O, lekkomyślni! Dlaczegóż to na wzgardzonej i opuszczonej przez Was skibie z korzyścią dla obcych — jak widzę — obfite uginają się plony? Na czem więc polega ta tajemnica tak bolesnych dla nas zawodów?

Oświaty bracia, **zaufania**, zgody i jedności nam trzeba,

A ziemia Ojczysta żadnemu z swych dziatek nie poskąpi chleba.

Hasłem więc naszem wobec powstającej jutrzenki niech będzie wspólne uświadomienie o zdrowym i rozsądnym kierunku naszego działania duchowo-społeczno - materyalnego; niech będzie zgodna organizacya prawem natury ustanowiona nawet w zamęcie ciał przyrody; niech będzie silna, niczem nieprzezwyciężona jedność. Złączeni więc takiemi podstawami wspólnego hasła, nic nas nie złamie, chociażby i gromy niczem nie pohamowanej ambicyi obcych, hukiem swym nas ogłuszały. Gwałceni bezprawiem, szarpani na poły, chociażbyśmy byli zmuszeni zamieszkiwać ostatnie świata zakątki, zniszczyć nikt nas nie potrafi, bo siła nasza moralna oprze się w takim razie najbezczelniejszym zakusom, zniweczy wrogów naszych plany.

» Ufajmy, a uczucia wszystkich serc polskich rozrzuconych chociażby na krańcach świata, niech skierowane będą ku Jasnej Górze, bo tam jak ongi w ciężkich chwilach dla naszego Narodu, i dziś czuwa nad nami siła potężna, nieprzezwyciężona — Matka Chrystusa, Królowa Korony Polskiej.

Kraków, dn. 20 sierpnia 1906 r.

Ks. Stanisław Cynalewski.



Oświęcim — Sypialnia w zakładzie salezjańskim.

VALPARAISO (Chile). — Uzupełniając podane w zeszłym numerze szczegóły trzęsienia ziemi, któremu uległo kilkadziesiąt najpiękniejszych miejscowości chilijskich, ogłaszamy tu niektóre ustępy z listu napisanego do nas przez ks. Ludwika Gorczatego, naocznego świadka katastrofy.

,,...Według oświadczeń wybitnych astronomów z *Santiago*, historja nie pamięta większego trzęsienia ziemi. Po głuchym huku podziemnym nastąpiło lekkie poruszenie a w końcu trzęsienie tak silne, że pojąć nie można, czemu się ziemia nie otwierała i nie zapadała. Obserwowałem, jak pod figurą Wspomożycielki na podwórku zakładowem ziemia tak się gięła, że figura z smukłym filarkiem pochylała się gwałtownie to na tę, to na ową stronę, przybierając nieraz pozycję o wiele więcej niepokojącą, niż wieża w Pizie. Widziałem, jak w poblizkich domach rysowały się, chwiały i padały z łoskotem grube mury. Tymczasem w mieście strzelały ku niebu olbrzymie słupy ognia i dymu: krwawa łuna oświecała na wielką odległość piękne pagórki i rozszalałe morze. Z podwórza, na którem całą noc staliśmy na deszczu, roztaczał się na płonące miasto widok wspaniały i straszliwy. Przypomniał mi się pożar Rzymu i okrzyk Nerona: ,,Bogowie!... ujrzę płonące miasto i skończę Troikę." Ale tu nikt nie myślał o kończeniu pieśni ,,głosem niebiańskim", myślano owszem o akcji ratunkowej, a ta akcja była niemożliwa. Rury wodociągowe były poprzerywane, sikawki przywalone gruzami. Na ulicach potworzyły się niemożliwe do przebycia barykady z gęstych sieci drutów telefonów, telegrafów i tramwajów, z belek, słupów żelaznych, rumowiska i złomów muru ogromnej wielkości. Większa część ludności popadła w stan chwilowego obłąkania. Pożar ogarnął całe miasto. Co za widok przerażający, gdy nazajutrz słońce złotymi promieniami oblało dymiące zgliszcza! Widziano zwłoki ludzkie w okropny sposób poszarpane i zmiażdżone.

Gdzieniegdzie odzywały się z pod gruzów ostatnie jęki umierających i rozpaczliwe wołania rannych.

Grozę powiększały szajki zbrodniarzy i złodziei, którzy zaczęli na wielką skalę uprawiać grabież i podkładać ogień pod zatarasowane sklepy i bazary. Dopiero ogłoszenie stanu oblężenia i rozstrzelanie około 800 schwytanych na rabunku bandytów uwolniło resztki miasta od tej plagi. Ostatnia statystyka ogłasza, że ogółem zginęło pod walącymi się domami przeszło 8000 osób; bez porównania więcej jest takich, którzy odnieśli rany lub dostali obłąkania umysłu.

,,A u nas? Wiadomo już Księdzu Redaktorowi, że w naszym zakładzie pokazało się zaledwie kilka szpar. Ponieważ był to jedyny gmach bezpieczny, umieszczono tu setki chorych i rodzin bez dachu. Nasi chłopcy spali dwa tygodnie w ogrodzie pod gołem niebem. W pierwszych dniach nawet głód nam zagrażał, bo nie było chleba. Dostawało się każdemu zaledwie po kilka ziemniaków i trochę herbaty. W następnych dniach władze dostarczały nam wszystkiego. Nadchodziły wozy pełne mięsa, chleba i innych zapasów. Tak więc spełniły się słowa Zbawiciela: *Date et dabitur vobis*, dajcie, a będzie wam dano...''

CHUBUT (Patagonja Środkowa). — *Chubut* (*) jest krajem tak wielkim, jak cała Polska, a ma tylko trzech misjonarzy. W ostatnich latach ludność się nadzwyczajnie rozmnożyła, lecz niestety nasuwa się tu na myśl zdanie: *multiplicasti gentes, sed non multiplicasti laetitias*, Panie, rozmnożyłeś narody, ale nie pomnożyłeś pociech. Lud z obojętnością patrzy na misjonarza, który śród niezliczonych trudów, po stromych skałach, niebezpiecznych urwiskach i przęłęczach, przez zdradliwe moczary zbliża się do niego w imię Boga i religji świętej. *Ks. Vacchina*, misjonarz, zdając sprawę ze swych czynności misyjnych w latach 1905-06, wynurza nadzieję, że bolesny widok prac wielkich a drobnych skutków poruszy serca katolickie do gorącej modlitwy za tę kamienistą ziemię.

Z jego sprawozdania wynika, że nasi misjonarze w tym czasie odbyli podróż 5000 kilometrów, zwiedzili tylko zachodnią część terytoryum, udzielili 369 chrztów, 560 bierzmowań, 1917 komunji św. i dali 40 ślubów.

JAMAJKA (Antyle). — O osadzie rolniczej, w której Salezjanie od kilku lat pracują z wielkiem poświęceniem, pisze protestancki dziennik *Daily Telegraph*: ,,Posiadłość *Reading* przedstawiała do niedawna obraz bezprzykładnego opuszczenia, czemu zapobiegł ks. biskup Gordon, zakupując ją dla swego kościoła. Wielka część obszaru leżała odłogiem a gdzieniegdzie stały od niepamiętnych czasów stawiska i bagna, które uniemożliwiały wszelką uprawę. Jak się wzięli do pracy Salezjanie: ks. Barni z kilku braciszkami? Niższe części już zupełnie osuszone i pokryte bujnym ogrodem; resztę podawać można za wzór racjonalnego i postępowego rolnictwa. Dla mieszkańców parafji św. Jakóba ma ta posiadłość doniosłe znaczenie także z tego względu, że im dowodzi, jak przez zastosowanie postępowych doktryn i pilność można podnieść urodzajność gleby. Dziś dochody są czterykroć większe niż przy objęciu ziemi, a 60 robotników murzyńskich ma tam stałe zajęcie.''

WIEDMA (Patagonja Północna). — *Ks. Maranzana*, gorliwy nasz misjonarz w tej części Ameryki Południowej, odbył sześciotygodniową wyprawę misyjną po brzegach rzeki *Rio Negro*, niosąc pociechę religijną rozrzuconym tamże rodzinom wychodźców i Indjan. Przyjmowany wszędzie z najserdeczniejszą gościnnością, miał sposobność przekonać się, jak wdzięczną pamięć zachowuje ludność tamtejsza o misjonarzach salezjańskich, którzy tam niegdyś pracowali, szczególnie o ks. Milanesio, którego Indjanie dlatego w szczególniejszy sposób zapamiętali i pokochali, że przemawiał do nich ich ojczystym językiem araukańskim.

W miejscowości *Roca della Travesia* zwiedził potomków murzynów, których na początku ubiegłego stulecia tu sprowadzono. Ostatni z czarnych przybyszów zmarł niedawno w 115tym roku życia. Nasz misjonarz mieszkał cztery dni u jego wdowy, staruszki przeszło stuletniej. — Ogółem udzielił 31 chrztów, 36 bierzmowań, dał 4 śluby, wysłuchał 70 spowiedzi i rozdzielił tyleż Komunji św. Siedmioro dzieci przypuścił po raz pierwszy do Stołu Pańskiego.

CHOS-MALAL (Patagonja-Północna). — Ks. misjonarz Gavotto powróciwszy w sierpniu z. r. z wycieczki w kierunku północno-zachodnim, pisze do ks. Jenerała: ,,Pięćdziesiąt dni zajęło nam zwiedzanie rodzin porozrzucanych w stepie około miejscowości *Curileo*, *Chapua*, *Barranca*, *Botaranquil*, *Tril* i *Chacajco*. Rezultat pracy jest następujący: 962 komunji św., 155 chrztów, 15 ślubów i kilkaset bierzmowań.

,,Za kilka dni wyruszymy na jakie trzy miesiące ku południowi: Tam nas dopiero czekają trudy! Umyślnie wybieramy się tam w zimie, bo śniegi spędzają ludność z niedostępnych gór do dolin. Jak wygląda życie misjonarza, gdy na gołym stepie potyka się ze szalonym i lodowatym wiatrem, gdy przeprawia się przez wezbrane rzeki i górskie potoki przemoknięty i od mrozu nawpół ubezwładniony, gdy z koniem wpada w doły pokryte lodem i śniegiem i nieraz dzień i noc spędza na kulbace, to już drogiemu Ojcu wiadomo. Wesprzyj nas, proszę, swojemi modlitwami i błogosławieństwem...''

(*) Mów: Czubut.



NABOŻEŃSTWO
do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

III. — Gesta Dei per Polonos.
Odsiecz Wiednia (12. września 1683).

Od klęski poniesionej na wodach *Lepanto* nie przestali wprawdzie Turcy być groźnymi Europie południowej i ponawiali od czasu do czasu nagłe i rozbójnicze najazdy na różne wyspy i kraje, oblewane falami Morza śródziemnego, z Wenecjanami zaś prowadzili długie i krwawe walki o posiadanie wyspy *Kandji*, którą im też wreszcie r. 1669 odebrali. Celu jednakże ostatecznego wszelkich swoich wypraw t. j. *zgładzenia* chrześcijaństwa, spodziewali się dopiąć na drodze *lądowej*, posuwając zabór stopniowo, ale wytrwale, w głąb środkowej Europy. Jakoż w drugiej połowie XVII wieku już **Węgry**, niemal całe podbite, uznawały za pana carogrodzkiego padyszaha; **Multany**, kawał **Podola** i znaczna część **Ukrainy** tworzyły *ejalety* tureckie; tatarskie zagony w prawie corocznych na **Polskę** wyprawach zapędzały się nieraz aż w Lubelskie, a sułtan **Mahomet IV**, kiedy w r. 1673 siadał na koń, wyruszając na Polskę, wykrzykiwał: *do Gdańska! do Gdańska!* — Tak był pewny zwycięstwa, że postonawił nie prędzej zatrzymać swoje hordy, aż staną nad brzegami Morza bałtyckiego.

Jeżeli Polskę, szarpaną ustawicznie prywatą możnych i osłabioną ciągłą wewnętrzną niezgodą, nie spotkał wówczas los Węgier, to po Bogu, który dla niej chował jeszcze dni pełne chwały, i Pannie Najświętszej, co nigdy nie przestała okazywać się miłościwą Królową swego wiernego ludu, miała to do zawdzięczenia wyłącznie zwycięskiemu orężowi **Jana Sobieskiego**.

Około roku 1681 nowe, więcej niż zwykle niepokojące wieści zaczęły się rozchodzić po Europie o nadzwyczajnych przygotowaniach Turków na walną wyprawę przeciw chrześcijaństwu. Istotnie z głębi **Afryki** i **Małej Azji** zaczęły się w tym czasie wychylać coraz nowe już nie wojska, ale tłumy muzułmańskie, spieszące do *Carogrodu* pod chorągiew Proroka, wywieszoną nad sułtańskim serajem, — sztandar bojowy, który wedle podań tureckich sam się rozwija i podnosi w powietrze na wskazanie *wiernym* drogi do zwysięstwa. Trzydziestu baszów stawiło się wtedy nad Bosforem na rozkazy sułtana: han tatarski **Murad Giraj** zbierał z Krymu i stepów czarnomorskich wszystkie swoje hordy; Wołoszę i Mołdawców wiedli **Duklas** i **Kantakuzen**; powołano również pod broń ujarzmionych Węgrów i Siedmiogrodzian. Przeszło pół miljona rozmaitego ludu, w tem samego żołnierza regularnego 140.000 z 300 armatami ściągało się przez całą zimę z 1682 na 1683 r. z różnych stron tureckiego państwa w kierunku serbskiego *Białogrodu*, skąd cała tłuszcza wyruszyć miała dalej przez Węgry ku Wiedniowi.

Wojna nie była wprawdzie żadnemu z europejskich państw wypowiedziana, naczelny wódz jednakże tych ogromnych sił, wielki wezyr **Kara-Mustafa**, nie taił bynajmniej właściwego celu wyprawy. Pokonać chciał najpierw cesarza niemieckiego **Leopolda I**, zdobyć *Wiedeń*, następnie zwrócić się na stolicę chrześcijaństwa, *Rzym*. Uniesiony pychą a pewny zwycięstwa

odgrażał się, że Watykan obróci w stajnię, w kościele św. Piotra umieści wierzchowca sułtańskiego, czerwonego koguta zaś (jak z pogardą nazywał Papieża Inocentego XI) wsadzi w klatkę i pośle do *Carogrodu* padyszahowi w darze.

Wtenczas trwoga wielka padła na chrześcijaństwo: jak za wojen krzyżowych po wszystkich krajach katolickich powoływano ochotników, zbierano wszędzie jałmużny i ofiary, w otwartych dniem i nocą kościołach wznoszono do Boga modły o ratunek. W tak groźnem niebezpieczeństwie oczy całego chrześcijaństwa, dziwnem jakiemś parte przeczuciem, zwróciły się mimowolnie ku Polsce, od niej jedynie, a raczej od jej bohaterskiego króla, spodziewając się wybawienia. Od wielu już bowiem lat krążyła po krajach chrześcijańskich Europy przepowiednia, której źródła szukać należy na Wschodzie u samychże Mahometanów, że potęga turecka otrzyma śmiertelny cios od **Polaków**. O tej przepowiedni, czy przeczuciu, wspominają różni ówcześni pisarze chrześcijańscy. » *Apud Turcas*, (tak pisze n. p. słynny Jezuita O. Kornel van der Steen, powszechnie **Cornelius a Lapide** zwany, na wiele lat przed potrzebą wiedeńską) *in fatis est certum quasi oraculum, suum imperium a Polonis evertendum* « (*).

Ku Polsce zwrócił się również cesarz **Leopold I** poparty przez stolicę apostolską i zawarł (dnia 31. marca 1683 r.) z królem **Janem III Sobieskim** przymierze zaczepne i odporne, przyrzekając sobie wzajemnie zbrojną pomoc przeciw Turkom, przymierze zatwierdzone niebawem przez Ojca św. **Inocentego XI.**

Tymczasem wojna została już Niemcom wypowiedziana. W połowie kwietnia 1683 r. wielki wezyr **Kara-Mustafa** wyruszył z Konstantynopola udając się do Białogrodu serbskiego, dokąd go główne siły tureckie dawno już były wyprzedziły. Aż do granic państwa towarzyszył mu samże padyszah, sułtan **Mahomet IV**, a odprowadziwszy swego wielkiego wezyra, któremu niedawno własną córkę dał był za żonę, do głównego obozu tureckiego przy ujściu Drawy do Dunaju, oddał w jego ręce uroczyście wielki buńczuk, sajdak wysadzany dyamentami i złotem tkany kaftan — wszystkie godła naczelnej władzy — i największą świętość turecką, ową wyżej już wspomnianą chorągiew Proroka. Potem cofnął się do Białogrodu, oczekując tam skutków wyprawy.

(*) To znaczy: U Turków uważa się jako rzecz od wieków już przeznaczoną i prawie pewne proroctwo, że ich państwo będzie zburzone przez Polaków. — *Epistola dedicatoria in commentario in XII Minores Prophetas praefixa.*

Kara-Mustafa nie zawiódł nadziei, jakie w nim pan jego i cały islam pokładał. Nie kusząc się wcale o zdobycie austrjackich twierdz i zostawiając je (wbrew wszelkim prawidłom ówczesnego sposobu wojowania) nieosaczone na swoich tyłach, skierował pochód swoich tłumów wprost na stolicę Austrji, przełamał szybko wszelkie przeszkody, umiał zwłaszcza zręcznie przeprawiać się przez rzeki, dzielące go od Wiednia, 2. lipca zaś w przeszło 200.000 wojska i 300 armat, nie licząc tłumu ciurów i wszelkiego szubrawstwa, stanął nareszcie pod murami upragnionego (pierwszego) celu swej podróży.

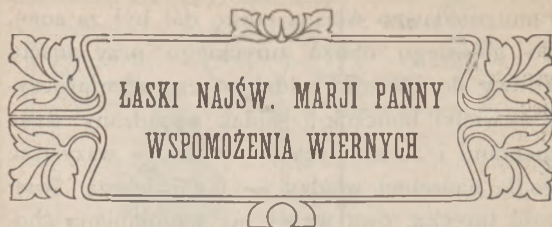
Pochód ten odbył się tak szybko, że dowódca wojsk austrjackich, książę **Karol lotaryński,** współzawodnik Jana Sobieskiego do tronu polskiego z czasu elekcji 1674 r., ustępując przed nawałą turecką pospiesznymi marszami, miał zaledwie czas wzmocnić załogi w *Jaworzynie* (Raab) i *Komornie,* rzucić do Wiednia 10.000 piechoty, przeprawić się spiesznie na lewy brzeg Dunaju i zniszczyć za sobą mosty. Na tydzień zaś przed nadejściem wojsk wielkiego wezyra i osaczeniem stolicy cesarz **Leopold I** uciekł, wyszydzany przez pospólstwo, wraz z całą rodziną z Wiednia w nocy 7. lipca. Tchórzliwy a dbały jedynie o swoją ochronę, nie zatrzymał się w spiesznej ucieczce aż za granicami swego kraju, w mieście bawarskiem *Passawie.* W ślad za zbiegłym monarchą uszło z zagrożonej stolicy blizko 60.000 mieszkańców.

Jedyna pomoc pozostawała teraz w

Sobieskim.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Wyleczona z śmiertelnej choroby.

W grudniu z. r. przechodziłam ciężką chorobę zatrucia krwi przez nieostrożność pielęgnującej mnie w połogu kobiety, a trwająca przez dni kilka gorączka 40° napełniła obawą lekarza i domowników. Nadszedł wreszcie dzień krytyczny, gdy krew uderzyła na mózg — i wśród strasznych męczarni przepędziłam w nieprzytomności noc całą, nie poznając nikogo, tak, że kapłan, udzieliwszy mi absolucji w godzinę śmierci i ostatnie namaszczenie Olejem św., musiał odejść. Gdy tak i lekarze i domownicy zrozpaczeni wyczekiwali ostatniej godziny, cudowna Lekarka okazała moc swoją. Chwilę bowiem przed zupełnem utraceniem przytomności, gdy uczułam wzmagające się cierpienia, gorąco wzywałam pomocy Matki Boskiej Wspomożycielki — i nie zawiodłam się. Otóż wówczas, gdy już poty śmiertelne wystąpiły, cudowna Opiekunka i Lekarka zażegnała burzę; uspokoiłam się, a gdym się po trzech godzinach obudziła, jakby odrodzona na duchu i ciele, gorączka minęła bezpowrotnie — i wkrótce przyszłam do zupełnego zdrowia.

Również w miesiącu październiku chorą na krup córeczkę poleciłam tej wszechwładnej Wspomożycielce i zostałam wysłuchaną.

Za te i wiele innych łask, ustawicznie doznawanych od Najsł. Serca P. Jezusa i Matki cudownej Wspomożenia Wiernych, niechaj będą nieustające dzięki, cześć i uwielbienie po wszystkie czasy!

Sokołów (Galicja).

PAULINA PIĘKOSIOWA
Nauczycielka.

Będąc naocznym świadkiem powyżej opisanego fatku, potwierdzam.

KS. FLORJAN ZIELAŃSKI.

***

Już od dłuższego czasu byłam chora, a ponieważ środki przepisane żadnego nie odnosiły skutku, lekarz wobec tego zadecydował, że jedynym dla mnie ratunkiem będzie operacja. W tej strasznej obawie wzywając pomocy Wspomożycielki Wiernych i Najsł. Serca Jezusowego, postanowiłam, że jeżeli wyzdrowieję bez operacji, to podam to do *Wiadomości Salezjańskich* i każę odprawić dziękczynną mszę św. — Trudno wyrazić bezgraniczną wdzięczność, jaką czuję dla Najśw. Marji Panny Wspomożycielki, bo w tej samej prawie chwili uczułam polepszenie, skutkiem czego operacja stała się niepotrzebną — i w trzy dni potem wstałam z łóżka, będąc już prawie zupełnie zdrową.

Całem sercem dziękując Matce Boskiej za to uzdrowienie, wypełniam ślub uczyniony i proszę o podanie niniejszego do ,,Wiadomości Salezjańskich''. Upraszam również o odprawienie Mszy św. dziękczynnej.

X... Galicja, 17-XI-1906.

J. CHRZANOWSKA.

Głos wdzięczności.

Najpokorniejsze dziękczynienie składam w imieniu swojem i towarzyszy Matce Boskiej Wspomożycielce za łaskawą pomoc, jakiej nam w potrzebie udzieliła. Byliśmy przez nieostrożność winni nieszczęściu na kolei i z tego powodu oddalono nas od pracy; mówiono nam też, że już żaden z nas do służby się nie dostanie. Zatrwożony o swoją i kolegów przyszłość, zacząłem odprawiać nowennę do Najśw. Marji Panny Wspomożenia wiernych w intencji, aby nam przywrócono dawne zajęcie. Istotnie krótko potem prośba moja została wysłuchana. Jest to zatem czysta prawda, że M. B. Wspomożycielka nikogo nie opuszcza, kto się do Niej ucieka i Jej pomocy wzywa.

Kalinów (Górny Śląsk), 28-10-06.

ALEKSANDER SKRZYPIEC.

***

Przed trzema laty byłam w wielkiem zmartwieniu z powodu procesu, w którym mąż mój był oskarżony. W największej trwodze zwróciłam się z ufnością do najlepszej Obrończyni, Najśw. Marji Panny Wspomożycielki, i poczęłam wzywać Jej pomocy. I oto ta dobrotliwa nasza Matka wysłuchała mych modłów, gdyż proces skończył się dla męża pomyślnie.

Z wdzięcznem sercem posyłam skromny datek na mszę św. do M. B. Wspomożenia wiernych i proszą o podanie tego do *Wiadomości Salezjańskich.*

Golub (Prusy Zachodnie).

W. D

***

Najpokorniejsze dziękczynienie postanowiłam złożyć publicznie Najśw. Sercu Pana Jezusa i Najśw. Pannie Marji Wspomożycielce Wiernych za doznane łaski, gdyż za Ich przyczyną otrzymałam władzę w nodze i straciłam ból, który mię dłuższy czas męczył, przykuwając do łoża. Cierpienia były tak wielkie, iż ani sama, ani nikt z otoczenia nie był w stanie mię podnieść.

Pomoc lekarska okazała się także bezskuteczną. Dopiero z rozpoczęciem nowenny równocześnie do Najsł. Serca Pana Jezusa i do Najśw. Panny, którą na prośbę OO. Salezjanie mi przysłali, uczułam stopniowe polepszenie. Po dwukrotnem odprawieniu obu nowenn doznałam tak znacznej ulgi, iż nie tylko powstać, lecz nawet i chodzić mogłam bez pomocy. To uzdrowienie zawdzięczam jedynie Najsł. Sercu Pana Jezusa i Najśw. Pannie M. Wspomożycielce Wiernych. Im też publicznie składam dziękczynienie.

Kołomyja, 12. listopada 1906.

GERTRUDA DOBRZAŃSKA.

Dzięki N. M. P. Wspomożeniu Wiernych!

Przez dziesięć lat chorowałam na żółciowe kamienie. Często dostawałam wskutek tego okropnych boleści. Ostatnią razą atak kolek był tak okropny, iż zdawało się, że lada chwila zakończą się te cierpienia śmiercią. Mąż mój z dziećmi nie ustawał w modlitwie, prosząc bezustannie Serce Pana Jezusa, Matkę Boską Wspomożycielkę Wiernych i św. Józefa o zdrowie dla mnie. Doktorzy oznajmili, że żadne lekarstwo mnie nie uleczy, tylko zmuszona będę koniecznie poddać się operacji. Jednakowoż Serce Pana Jezusa inaczej myślą męża mego pokierowało. Przejęty trwogą o operację, sprowadziliśmy lekarstwo z Londynu (które z niemałą obawą, ponieważ bardzo słaba byłam, ale z wielką ufnością w pomoc Najwyższego używałam) i otóż około pięćdziesiąt kamieni znacznej wielkości w dwóch dniach usuniętych zostało. Dziś czuję się całkiem zdrową. Na wspomnienie tych męczarń okropnych ze łzami w oczach przejęta wielka wdzięcznością, składam wraz z mężem Sercu Pana Jezusa, Matce Boskiej Wspomożycielce Wiernych i świętemu Józefowi najserdeczniejsze dzięki za wyświadczoną mi łaskę.

Wróblewo (W. Ks. Poznańskie), 20-11-06.

JADWIGA I MARCELI SNIEGOWSCY.

* * *

W lipcu b. r. podobało się Panu Bogu dotknąć mnie wielkim smutkiem. Otóż ludzie pozbawieni wiary, aby mi dokuczyć, wymyślili niecne oszczerstwo, które przedłożyli mej władzy, chcąc tym sposobem zmusić mnie do opuszczenia zajmowanej posady. Złość swoją posunęli do tego stopnia, że nawet swe kłamstwa ogłosili w pismach. Matka moja dowiedziawszy się o tem, rozchorowała się tak bardzo, że wezwani lekarze zwątpili o jej życiu. Dotknięty podwójnem nieszczęściem, a czując się zupełnie niewinnym, udałem się z całą ufnością do Pocieszycielki i Lekarki wszystkich strapionych, czyniąc obietnicę, że jeśli oszczerstwo nie znajdzie posłuchu u mych przełożonych, ogłoszę to publicznie w *Wiadomościach Salezjańskich* i poślę skromną ofiarę. Matka cudowna Wspomożycielka wiernych wysłuchała próśb mych łaskawie, a ja wywiązując się z uczynionego ślubu, posyłam mały datek na odprawienie mszy św. i na cele salezjańskie.

Poturzyca (Galicja), 1-12-1906.

JAN LIPSKI
nauczyciel.

* * *

Mając poddać się ciężkiej operacji, poleciłam się opiece N. Matki Wspomożycielki wiernych w tej intencji, że gdy mnie uratuje, ogłoszę to publicznie. Matka Najświętsza ulitowała się nademną i nietylko z ciężkiej choroby mnie dźwignęła, ale moimi bardzo smutnymi interesami pomyślnie pokierowała, za co składam Jej serdeczne dzięki, oraz posyłam 8 koron na mszę św.

Zbydniów (Galicja), 11-11-06.

ALEKSANDRA CHODKIEWICZ.

Cześć Marji Wspomożeniu wiernych!

Od czterech lat chorowałam dość poważnie. Radząc się lekarzy, używałam regularnie wszystkie przepisane leki, te jednak nie przynosiły mi żadnej ulgi. Lekarze zaopinjowali wówczas operację, która mnie przejęła obawą o życie. Atoli naraz jak jutrzenka zabłysła mi myśl udania się do księdza Bosko; myśl ta przeszła w czyn i powiedziałam do otaczających mnie osób: jeżeli mi ks. Bosko uprosi u Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych zdrowie, dam na Jego wychowanków ofiarę. I o cudo! niebawem zaczęło mi się stopniowo polepszać, tak, że dzisiaj z dawnych cierpień i śladu niema, zaco cześć niech będzie Marji w Niebie i na ziemi, a zarazem dzięki księdzu Bosko, że mi wyprosił zdrowie u Tej, która jest potężną na ziemi i w Niebie. Załączam przytem przyobiecaną ofiarę na wychowanków i na mszę św. dziękczynną.

Kościelec (Galicja), 15-11-1906.

ALEKSANDRA SZUBERT.

* * *

Przed dwoma laty w pewnej ważnej sprawie poleciłem się opiece Matki Najświętszej i postanowiłem ogłosić publicznie podziękowanie w *Wiadomościach Salezjańskich*, jeżeli zostanę wysłuchany. Otrzymawszy to, o co prosiłem, zwlekałem z wykonaniem przyrzeczenia; przez ten czas jednak Matka Najświętsza, pomimo mojej niewdzięczności, nie przestała otaczać mnie swoją opieką i wypraszać mi u Boskiego Dzieciątka rozmaitych łask, szczególnie wtedy, kiedy najbardziej wsparcia potrzebowałem.

Za te więc wszystkie dary niezasłużenie otrzy-

mane dziękuję dziś serdecznie Królowej Anielskiej i Jej Boskiemu Dzieciątku i proszę, by mnie i moich w opiece Swej zawsze zachować raczyli.

Kołomyja (Galicja), 23-11-1906.

N. B.

* * *

Najpokorniejsze dziękczynienie składam Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Marji Pannie Wspomożeniu Wiernych za wyzdrowienie mego syna. Dnia 18. lipca b. r. upadł on z rusztowania 10 m wysokości i potłókł się strasznie, tak, że nie było najmniejszej nadziei utrzymania go przy życiu. Ofiarowałem go wówczas Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych i widocznie moją modlitwę Matka Najświętsza wysłuchała, gdyż syn mój Władysław po paru tygodniach mógł już o własnych siłach wychodzić. Ja zaś przyrzekłem, że jeżeli Matka Najświętsza wysłucha mej pokornej prośby, to złożę ofiarę 10 koron na odprawienie dziękczynnej Mszy świętej. Uiszczając się zatem z danego przyrzeczenia, proszę zarazem umieścić niniejszą podziękę w *Wiadomościach Salezjańskich.*

Jazłowiec, dnia 9. listopada 1906.

KAZIMIERZ KURYAŃSKI
Pomocnik Salezjański.

* * *

Publiczne dzięki składam Najsł. Sercu Jezusowemu i Najśw Marji Pannie Wspomożeniu Wiernych za otrzymane łaski Przeszło pół roku cierpiałem wielkie boleści reumatyzmowe w prawem ramieniu, a gdy już wszelkie rady lekarskie okazały się bezskutecznemi, przyszło mi na myśl udać się do XX. Salezjanów z prośbą o odprawienie na moją intencję Mszy św. i nowenny z przyrzeczeniem, że w razie wysłuchania publicznie ogłoszę w *Wiadomościach Salezjańskich.* Natychmiast też w stanie mego zdrowia zaszła zmiana na lepsze, a chociaż jeszcze nieraz uczuję jakiś ból, mogę jednak chodzić do roboty i tą samą pracą się zajmować.

Z wdzięczności posyłam na Mszę św. dziękczynną do Najśw. Wspomożycielki Wiernych i proszę, aby całą rodzinę moją miała zawsze w Swej macierzyńskiej opiece.

Opole (Górny Śląsk).

JAN MIEMCZYK.

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Stanisława Ukraińska ze Stryja (*Galicja*); Wojciech i Weronika Kordek z Rydzyny (*W. Księstwo Poznańskie)*; Jadwiga Ignatowiczowa z Burdziakowic (*Galicja*); Emilja Heilmann z Bóbrki (*Galicja*); Magdalena Kochańczyk z Ulanowa *(Galicja)*; Marjanna Lammek z Rajkowych (*Prusy Zachodnie*); Antoni i Marjanna Teodorczykowie z Galewa (*W. Ks. Poznańskie)*; J. Jelinek z Majdanu (*Galicja*); Walerja Tanewska z Ulanowa (*Galicja*); Wojciech Raba z Rabki (*Galicja*); Władysław Ziębliński ze Strzemieszyc *(Królestwo Polskie)*; Jakób Schütza z Kaliskich Olędrów (*Prusy Zachodnie)*; Jan Częstuch z Uhorników (*Galicja*); Julja Pietruszka z Kiełcz (*Górny Śląsk*); Jan Głodny z Grabowa *(Prusy Zachodnie*); Józef Bauza z Podgórzyna (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Franciszek Dyderski z Opalenicy (*W. Ks. Poznańskie*); Józef Pyka z Nowego Radzionkowa (*Górny Śląsk*); Jan Bzdok ze Sodowa *(Górny Śląsk)*; Stefanja Poperówna ze Złoczowa (*Galicja*), za odzyskane zdrowie; N. Jakubska z Brzozowa (*Galicja*), za otrzymaną pomoc przy zdawaniu egzaminu wydziałowego; Jadwiga Konikiewicz z Poznania, za wygranie procesu; Anna G. z Krakowa, za otrzymanie, mimo licznych trudności, posady w szkole wydziałowej; Wanda Krzyżanowska z Dobromila (*Galicja*), za ulgę w różnych cierpieniach i przywrócenie zdrowia drogiej osobie; J. F. S. z Trzebini (*Galicja*), za doznaną kilkakrotnie pomoc w potrzebie; M. K. z Białej (*Galicja*), za publiczne zdanie wstępnego egzaminu do seminarjum i wiele innych łask; St. Jezierna z Grabowa *(Wielkie Ks. Poznańskie*), za odzyskanie zdrowia, pomimo że już była bliską śmierci; Ludwika Jurkiewiczowa z Krysowic (*Galicja*), za wyzdrowienie z reumatyzmu; N. Dębska z Budiakowiec (*Galicja*), za pocieszenie w smutku i uzdrowiene dziecka; M. Ostrowska z Przemyśla *(Galicja)*, za otrzymanie stałej posady; Michał i Marjanna Tarkowscy z Utica *(Stany Zjednoczone)*, za odzyskanie zdrowia i uzdrowienie nogi; J. D. z Lendzin *(Górny Śląsk)*, za uzdrowienie córeczki po odprawieniu nowenny; A Dorożyńska ze Lwowa, za wyzdrowienie z tyfusu; Zofia Olpińska z Trembowli (*Galicja*), za uzdrowienie matki; F. Z. z Żółkwi (*Galicja*), za zachowanie od ognia i nie rozszerzenie się go mimo szalonego wichru; Adam Lubaczewski ze Lwowa, za wiele łask — a głównie za jednę, o którą prosił przez trzynaście miesięcy; Edward i Anna Doczkowscy z Dziewiętników (*Galicja*), za wyzdrowienie i wygranie sprawy sądowej, która już była upadła.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Kącik Pedagoga

Kształcenie jednostek.

Nauczyciel w szkole podobny jest do owego siewcy ewangelicznego, który wyszedł siać. A gdy siał, niektóre ziarnka padły przy drodze i zginęły zdeptane przez przechodniów, lub zostały wyzbierane przez ptactwo. A drugie padły na opokę: zeszły, ale uschły na słońcu. Inne padły między ciernie i zostały przyduszone. Inne wreszcie padły na ziemię dobrą i dały owoc stokrotny.

I nauczyciel rzuca ziarna nauki w umysły swych uczni, z których każdy posiada odmienne zdolności, odmienne przygotowanie. Jedni, to istne motyle; ani na chwilkę cicho usiedzieć nie mogą. A ich główka, to niby ludna ulica, którą w każdym czasie najróżnorodniejsze postacie, sny i marzenia wolno i bez przeszkody przeciągają. Jak się tam ma przyjąć zimne słowo nauczyciela? Wpada ono, lecz fala marzeń unosi je gdzieś wdal.

Drudzy zaś, to grunt opoczysty: tępi, twardzi, bez odpowiedniego przygotowania. Natężają biedni wszystkie siły, aby pojąć słowa nauczyciela; zdaje się, iż je pojęli, lecz po chwili już tracą wątek wykładu i wszystkie te tak pięknie rokujące pędy usychają i giną.

Trzecią kategorję tworzą typy zupełnie odrębne i ciekawe. Nie brak im uwagi, nie brak zdolności; ale ich umysł czy naturalnie, czy skutkiem wychowania tak dziwnie się ukształtował, iż przy każdem zdaniu, przy każdem twierdzeniu znajdują jakieś nowe wątpliwości. A te tak bujnie strzelają w górę z urodzajnej gleby ich umysłu, iż koniecznie muszą zagłuszyć słowa nauczyciela.

Wreszcie jest owych kilku wybranych, którzy uzdolnieni, pilni, z umysłem normalnie rozwiniętym, korzystają z wykładu nauczyciela i dają owoc jeden stokrotny, drugi sześćdziesięciokrotny, inny trzydziestokrotny. Są oni pociechą i chlubą nauczyciela, próbką okazową jego pracy i zdolności. On ich tak lubi, tak się dla nich poświęca, że, bywa, iż o poprzednie trzy kategorje wcale się nie troszczy. Czy należycie wypełnia swój obowiązek? Sumiennie się do lekcji przygotowuje, wygłasza swój wykład jasno wśród głębokiego milczenia, nie szczędzi pilnym pochwał, leniwym nagany — a mimo to brak tu czegoś. Brak szczerego zainteresowania się postępem każdego poszczególnego ucznia; brak głębokiego przekonania, że kiedyś przyjdzie zdać rachunek przed Bogiem nie z postępu kilku wybranych reprezentantów klasy, lecz z postępu każdej jednostki. Brak dalej owej miłości chrześcijańskiej, która nakazuje stać się maluczkim z maluczkimi, wnikać w ich ducha, nawoływać do



Oświęcim - Pracownia rzeźbiarska w r. 1906.

uwagi ciągle i z niewyczerpaną cierpliwością, objaśniać z osobna mniej uzdolnionym rzeczy trudniejsze, usuwać wątpliwości tam, gdzie umysł niejasny i obarczony przesądami.

Nie jest to rzecz łatwa, lecz miłość i poczucie odpowiedzialności wszystko może. A jakże straszna ta odpowiedzialność! Gdy w naturze trzy ziarna idą na marne, to siewca pocieszyć się może tem, że czwarte tę szkodę mu wynagrodzi. Nie tak w szkole. Cóż ja mogę mieć za pociechę, jeśli twoje dziecko doskonale się rozwinęło, gdy tymczasem moje zmarnowało zupełnie swe młode lata?



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misjonarza Salezjańskiego.

(Ciąg dalszy).

Trzy dni jednostajnej i nużącej żeglugi przez pustynię *Chaco* upłynęły, nim przybyto do *Corrientes*: tutaj biskup - misjonarz był powitany przez wielką liczbę życzliwych mu osób duchownych i świeckich, które go odprowadziły do gubernatora p. Virasoro, a ten, po przeczytaniu listu Prezydenta, przyjął go najuprzejmiej. Ofiarowano mu duży budynek, aby w nim urządzić przytułek dla sierot; nie chciał jednak przyjąć żadnych zobowiązań, albowiem posługę religijną w mieście i w okolicy spełniali z wielką gorliwością O. O. Franciszkanie mający tu dwa domy. Ks. Lasagna odwiedził ich i doznał miłego przyjęcia.

Po trzech godzinach dalszej podróży, z rzeki Parana wpłynęli misyonarze na rzekę Paraguaj. W godzinach wolnych od nabożeństwa podziwiali wesołe i bogate okolice rzeczypospolitej Paraguaju, podczas gdy na lewo rozciągała się w nieskończoność pusta i przykra pustynia *Chaco*. W pobliżu brzegów, z pośród gałęzi drzew zwieszających się aż do wody, wysuwały się głowy olbrzymich krokodyli, bardzo licznych w tych stronach, które wygrzewały się na słońcu, nieruchome, z oczyma otwartemi, jakby skamieniałe. Z okrętu padały w ich kierunku liczne strzały: żaden jednak nie trafił, a potwory nie zwracały na nie bynajmniej uwagi, zachowując dziwną nieruchomość.

Rzeka Paraguaj i jej dopływy przepełnione są tymi potworami, a ich obecność czyni lądowanie i kąpiele w tych rzekach nadzwyczaj niebezpiecznemi. Kapitan Noceti opowiedział biskupowi, że przed kilku laty miał z sobą na statku syna jednego ze swych przyjaciół. W czasie najbardziej dopiekającego gorąca młodzieniec skorzystał z chwili, gdy okręt z powodu braku wiatru musiał się zatrzymać: zrzucił więc ubranie i skoczył do wody, aby się wykąpać i ochłodzić. Ale ledwie się nieszczęśliwy zanurzył, usłyszano straszliwy krzyk: wszyscy majtkowie rzucili się na tył okrętu i ujrzeli nieszczęsnego chłopca szamocącego się w paszczy ogromnego krokodyla. Kapitan porwał za karabin, wycelował i strzelił. Bestya powaliła się, ale było zapóźno: ofiara już nie żyła. Przynajmniej pochowano go na lądzie.

Od czasu do czasu spotykano małe wysepki, pokryte roślinami o szerokich liściach, które przedstawiały rozkoszny widok. Rzeka unosiła je z sobą, a liczba ich była tak wielka, że przewidywano chwilę gdy, połączywszy się, utworzą jedną wielką płaszczyznę pokrytą zielonością. Parowiec zatrzymał się kilka godzin koło *Humaita*, pierwszej wioski w Paraguaju, potem koło miasta *Villa de Pilar*. Gdy statek ruszył dalej, widziano znowu liczne i piękne wysepki różnej wielkości; często się zdarzało, że statek osiadał na piasku i załoga z wielkim trudem musiała go spychać w wodę. Ilekroć statek stanął, biskup korzystał z tej sposobności, by badać obyczaje i charakter mieszkańców nadbrzeżnych, szczególniej jeżeli to byli dzicy. Jako baczny i rozumny obserwator, zastanawiał się nad fauną, florą i etnografią tych krajów — i nad wszystkiem, co mogło służyć postępom nauki i powodzeniu misyi. Wiadomości nabyte zużytkowywał potem w swych rozmowach i w kazaniach, wyciągając z nich nauki moralne i zachęcając swych słuchaczy do oddawania czci Bogu, który tyle cudów zdziałał: „Jak wielkie są dzieła Twoje, o Panie! wszystko rozrządziłeś mądrze i ziemia jest pełna bogactwa Twego."

Rozdział XXXIX.

Przyjazd do Assumption. — U Prezydenta. — Nadzwyczajna pracowitość. — Procesja Bożego Ciała. — Święcenia kapłańskie. — W szpitalu. — Umowa. — Przy łożu umierającego. — Odjazd. — Wspomnienia.

Z *Villa de Pilar* wysłał nasz misjonarz depeszę powitalną do prezydenta republiki paraguajskiej J. E. p. Gonzalesa i do administratora dyecezji ks. Arrua, zapowiadając im mniej więcej czas swego przybycia do miasta Assumption. Miał nadzieję, że uprzedziwszy ich w ten sposób, prędzej i łatwiej będzie mógł załatwić ważne sprawy, które go tam sprowadzały. Rankiem dnia 17go maja, wychodząc ze swej kabiny, ujrzał z radością zielone wzgórza okalające stolicę Paraguaju. Zaledwie statek zarzucił kotwicę, stawiło się na pokładzie kilku przedstawicieli władz miejscowych, którzy mieli nakaz przewieść na ląd biskupa salezjańskiego w łodzi umyślnie na ten cel przygotowanej i wykwintnie urządzonej. Przy lądowaniu oczekiwali, oprócz administratora dyecezji, ks. Montagna Misjonarz i rektor seminarjum, sekretarz kurji biskupiej i kilka innych znakomitych osób, które miały go odprowadzić do pałacu Ministerstwa skarbu, oddanego mu do użytku na cały czas jego pobytu.

Biskup Lasagna pierwszą wizytę złożył prezydentowi republiki, który go przyjął z należnymi honorami i z oznakami głębokiego szacunku i wdzięczności, jakie uczuwał dla tego, którego już nazywano Aniołem opiekuńczym i Odnowicielem Paraguaju. Prezydent wiedział dobrze, z jak żywem zajęciem biskup interesuje się

wszystkiem, co może przynieść pożytek tej nieszczęśliwej krainie. Po pierwszych powitaniach rozmowa przeszła zaraz na te dwie główne kwestje: potrzebę chrześcijańskiego wychowania młodzieży i nawracanie dzikich Indjan. Od pierwszych słów prezydent mógł ocenić energiczny charakter biskupa, jego szeroki umysł, rozległe wiadomości, zarówno jak jego uprzejmość i uprzedzającą grzeczność. Spostrzegł rychło, że biskup doskonale jest obeznany z potrzebami Paraguaju i gorąco pragnie, aby były zaspokojone. To też od tego pierwszego spotkania, obaj uczuli się silnie pociągnięci jeden ku drugiemu i zawiązała się między nimi ścisła przyjaźń.

Korzystając z tak szczęśliwego usposobienia, ks. Lasagna z prawdziwie apostolską szczerością począł nakłaniać prezydenta do ponownego nawiązania zerwanych stosunków ze Stolicą świętą; namawiał go, by napisał do Ojca św. przepraszając go za samowolne skasowanie kilku uroczystych świąt katolickich i prosząc o naznaczenie biskupa, którego Paraguaj tak bardzo potrzebował. Z pomocą bożą upomnienia i rady zacnego biskupa odniosły pomyślny skutek. Choćby ks. Lasagna nie był nic więcej zdziałał dla tego kraju, byłby mu się przez to jedno wielce zasłużył i byłby się mógł już cieszyć z owocu swej długiej podróży. Ale dla misjonarza o energicznym temperamencie pozostawało jeszcze wiele dobrego do zdziałania w tej stolicy.

Od pierwszego dnia rozpoczął opowiadanie słowa Bożego, a trudno byłoby zliczyć, ile kazań i konferencji wypowiedział przez czas swego pobytu w Assumption. Z równą gorliwością sprawował święte Sakramenta: przeszło cztery tysiące dzieci wybierzmował w mieście, a prawie drugie tyle w parafjach i miasteczkach okolicznych. Zdawało się, że wraz z jego przybyciem do Assumption wiara ożywiła się w sercach, że moralność mieszkańców się podniosła, że wreszcie życie prawdziwie chrześcijańskie zaczęło się rozwijać w tem mieście. Obchodzono znowu uroczyste obrzędy kościelne, których nie widziano od czasu, jak miasto nie miało biskupa. Procesja Bożego Ciała, które w tym roku przypadało 24go maja, celebrowana była pontyfikalnie, a uczestniczył w niej i w całem nabożeństwie prezydent otoczony wszystkimi ministrami.

Ks. Lasagna zwiedził seminarjum duchowne niedawno założone a pozostające pod kierunkiem księży Misjonarzy, którzy są dla tej dyecezji i dla rzeczypospolitej prawdziwą opatrznością, bo umieją wpoić w młodych kleryków prawdziwego ducha kapłańskiego. Wypowiedział im słowa zachęty i mądre rady wobec uczniów, życząc aby ich liczba pomnażała się zawsze w stosunku do potrzeb Kościoła. Potem, chcąc dać nowy dowód życzliwości administratorowi dyecezji, przyrzekł dać święcenia kapłańskie kilku klerykom już do tego przygotowanym.

Poczciwy biskup odwiedził także Siostry Miłosierdzia, które utrzymują tu szkołę dla 300 dziewcząt i obsługują szpital. Obszedł sale chorych, rozmawiając z każdym i okazując wszystkim szczere współczucie. To samo nastąpiło w szpitalu wojskowym, gdzie biskup dowiedział się z wielką pociechą, że żołnierze okazują żywą pobożność, przystępują do Sakramentów św. i mają wielkie nabożeństwo do M. Boskiej Bolesnej, której obraz znajduje się w każdej sali. W pośród tej gorączkowej działalności ks. biskup nie zapomniał o celu swogo przybycia do Paraguaju. Miewał częste i długie narady z p. Wenancjuszem Lopezem, ministrem spraw zewnętrznych, wskutek których stanął układ między republiką Paraguaju a generalnym przełożonym Zgromadzenia Salezjańskiego, zabezpieczający istnienie nowego zakładu tegoż Zgromadzenia i jego stałe trwanie, mimo możliwych w przyszłości przewrotów i zmian rządu. Ks. Lasagna ze swej strony okazał się hojnym, przyrzekając więcej nawet, niż pozwalały jego środki, dla dobra tej rzeczypospolitej, którą serdecznie ukochał. Żądał tylko, żeby dwa zakłady, które dotąd były szpitalami, a które miano zamienić na szkoły sztuk i rzemiosł, zostały uznane przez rząd jako własność Salezjanów, którym miała być przyznana zupełna swoboda w kierowaniu wychowaniem dzieci i czeladników; wreszcie prosił żeby rząd, przynajmniej w początkach, nie odmawiał swej pomocy, dopóki dzieło nie będzie mogło utrzymywać się z własnych środków.

Warunki te wydawały się tak słuszne, że prezydent i ministrowie natychmiast je zatwierdzili bez żadnych zastrzeżeń; żeby zaś dać Salezjanom jak największą pewność, postanowili im zjednać sankcję Kongresu. Dnia 27go maja, gdy wszystko już prawie było ułożone, minister spraw zewnętrznych dał wielki obiad, na który zaprosił ks. Lasagnę, prezydenta, wszystkich ministrów, administratora dyecezji i kilka znaczniejszych osobistości politycznych, duchownych i świeckich. Wśród serdecznego nastroju, jaki panował na tej uczcie, zamieniono wiele uwag i okazano wielką sympatję biskupowi i dziełom księdza Bosko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ś. p. Ks. Dr.

FLORJAN OKSZA STABLEWSKI

Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański

Prymas Polski.



Nowy bolesny cios ugodził w znękaną pierś społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim. Wieczorem 24 listopada z. r. rozniósł telegraf na wszystkie strony świata smutną wieść, że w Poznaniu zmarł nagle na udar sercowy Najprzew. X. Arcybiskup Florjan Stablewski. Już od kilku

lat był on ciągle cierpiący, ale ponieważ w ostatnim czasie w stanie jego zdrowia nastąpił dość widoczny zwrot na lepsze, stąd nikt — nawet przyboczni jego lekarze nie przypuszczali, aby tak prędko miał zejść z widowni tego świata.

Wiadomość ta odbiła się w całej Polsce echem tem boleśniejszem, że zwłaszcza teraz ludność archidyecezji gnieźnieńsko-poznańskiej — wobec wrażego systemu hakaty pruskiej, chcącego jej wydrzeć wiarę i narodowość, — potrzebuje nieustraszonego Pasterza, któryby twardo stanął w obronie przyrodzonych praw trzody sobie powierzonej, a takim właśnie (szczególnie przez ostatni swój okólnik) okazał się zgasły Dostojnik Kościoła. Pan Bóg w niezbadanych wyrokach Swoich nie pozwolił mu doczekać końca walki, jaką lud polski toczy z rządem pruskim o najświętsze swoje ideały; godzi się atoli spodziewać że walka ta, jako oparta na prawie Boskiem i przyrodzonem, zakończy się dla ludu tego pomyślnie. Nie od rzeczy będzie uprzytomnić tu sobie tę niezbitą prawdę, że przemoc, choćby od stóp do głów zakutą była w stal, nigdy długo ostać się nie może..... i w końcu musi ustąpić sprawiedliwości. Potrzeba tylko, aby strona uciśniona dochodziła swych praw konsekwentnie, wytrwale i rozważnie...

Śp. Florjan Stablewski urodził się 16go października r. 1841 we Wschowie, z ojca Onufrego, właściciela dóbr, oficera wojsk napoleońskich, i matki Emilji *Śreniawa* Kurowskiej. Początkowo uczęszczał do gimnazjum w Trzemesznie, gdzie uzyskał świadectwo dojrzałości. Poświęciwszy się studjom teologicznym, po dwuletnich studjach w Seminarjum duchownem w Poznaniu, udał się na uniwersytet do Monachium, oddając się obok teologji, głównie historji. Wyświęcony w młodym wieku na kapłana, pierwsze dowody sumiennego pojmowania swoich obowiązków dał jako wikarjusz podczas epidemji cholery w roku 1866 w *Tarnowie* pod Poznaniem. Mianowany następnie katechetą przy gimnazjum w *Śremie*, okazał wybitne zdolności wychowawcze. Na tem stanowisku miał pierwszy zatarg z rządem pruskim. Gdy w r. 1873 zniesiono polski wykład religji w gimnazjach, ks. Stablewski *oświadczył stanowczo, że w języku niemieckim polskim uczniom wykładać nie będzie* — i za ten opór złożony został z urzędu. To zwróciło uwagę ogółu na młodego kapłana. Już w roku 1876 wybrano go posłem do Sejmu pruskiego, następnie także do Parlamentu niemieckiego, a w obu tych ciałach rychło, dzięki doskonałej swej wymowie, zjednał sobie poważne stanowisko. Rok 1891 przyniósł mu niespodzianie godność arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego — i na tem stanowisku pozostał do śmierci.

Jako Arcybiskup rozwinął X. Stablewski czynność nadzwyczaj ruchliwą: między innemi bowiem dokonanemi przez siebie dziełami, pomnożył liczbę duchownych, pobudował seminarjum, urządził trzy konwikty w Poznaniu, Gnieźnie i Ostrowie, zbudował i ozdobił mnóstwo świątyń, tak, iż słusznie powiedzieć o nim można (jak zauważył jeden z mowców żałobnych), że zastał dyecezję drewnianą, a zostawił ją murowaną. To też pamięć jego czynów na wieki będzie błogosławioną.

Również dla Zgromadzenia Salezjańskiego żywił Zmarły wielką sympatję. Dowodem tego nader serdeczny list, jaki z okazji Trzeciego Kongresu Pomocników Salezjańskich, odbytego w Turynie w maju r. 1903, i uroczystej koronacji cudownego obrazu Marji Wspomożycielki, nadesłał na ręce czcigodnego X. Rua. W liście tym pisał, że łączy się duchem z uczestnikami Kongresu, składa swój hołd u stóp ukoronowanej Wspomożycielki i życzy pracy XX. Salezjanów błogich w skutki wyników. Za okazaną nam życzliwość byliśmy i pozostaniemy Dostojnemu X. Arcybiskupowi zawsze wdzięczni.

Chociaż jesteśmy szczerze przekonani, że dusza jego znajduje się już w przybytkach niebieskich, mimo to pomni, że Pan Bóg nawet w sprawiedliwych znajduje skazy, z których się muszą oczyścić aż do ostatka, zanim zostaną przypuszczeni do oglądania Jego oblicza, zapraszamy naszych szanownych Czytelników i łaskawe Czytelniczki, aby razem z nami błagali Najwyższego o jak najrychlejsze udzielenie zmarłemu Arcypasterzowi korony chwały wiekuistej.

Wieczny spokój Jego duszy!

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI. (Trento-Austria).